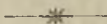


<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI OO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie (52 tomy) rs. 10	}	Rocznie (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.



DOPLATA ZA OPRAWĘ:

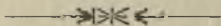
Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs. 8 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	„ 8 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop



REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administraçya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1870
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 164.

BRZYDKA.

Powieść

Michaliny Domańskiej.



M. Domańska

Cena 40 kop.

W pren. 30 $\frac{1}{2}$ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

<http://rcin.org.pl>

1901

**INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-140 Warszawa

Tel. 26-08-63, 26-01-11 w. 42

BRZYDKA.

MICHALINA DOMAŃSKA.



BRZYDKA

POWIEŚĆ.



INSTITUT
BADAŃ INTERAKCYJNYCH FAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-730 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy Świat 47.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Декабря 1900 г.

620

I.

Do lat dziewiętnastu nie wiedziałam o tem, że jestem brzydka. Któż mi to miał powiedzieć? Ojciec patrzył na mnie, jak się zwykło patrzeć na jedy-naczkę, to jest widział we mnie mniej więcej ósmy cud świata; ciocia Jadwisia nie była też daleką od tego przekonania, moje nauczycielki mówiły dużo o moich zdolnościach i moim słodkim charakterze, ale nie o mojej urodzie.

Rządcy nasi, sąsiedzi znali mnie wszyscy od pierwszego roku mego życia i patrzyli na mnie tym wzrokiem przyzwyczajenia, który właściwie nie do-strzega nic i którego nic nie uderza. Zresztą, co ich obchodził stopień mej urody? Roztrząsali chętnie kwe-stye gospodarskie, myśliwskie, czasem nawet poli-tyczne, ale na tory estetyki nie wkraczali nigdy. By-łam zresztą jedyną panną w okolicy, więc brakło po-równawczej miary, a dwaj jedyni młodzieńcy odby-wali jeszcze trudną pielgrzymkę przez gimnazyalne klasy.

Mieszkaliśmy prawie już na Polesiu. Nie były to jeszcze niezmierzone okiem moczary, jakie się za-czynały o kilka godzin drogi ku południowi, ale sen-ne, płaskie, dalekie pola, mokre, niskie łąki i wszędzie na krańcu widnokrzęgu sine linie lasów. Wieśniaczki nosiły już strój Poleszuczek, to jest długie buty, czer-wone spódnice mało co niżej kolan i grube, misternie

ułożone zawoje na głowach. Mężczyźni byli mało-mówni, ociężali i spoglądali nieufnie. W zimowe noce od dworów i wiosek dochodziły chóralne wycia wilków, co nie trwożyło zresztą nikogo: należało to niejako do programu. Do kolei mieliśmy dwanaście mil, do najbliższego miasta pięć. Ojciec mój był jednym z najdawniej osiedlonych w okolicy i jednym z zamożniejszych wśród ogólnie zamożnych obywateli. Troje, gdzieśmy zamieszkiwali, pamiętały już niejedno pokolenie naszego rodu. Stary, drewniany, ogromny dom miał podwójny, staroświecki dach i całe szeregi wielkich kwadratowych pokojów. Lubiłam je w dzieciństwie przebiegać z końca w koniec, co zajmowało mi niemało czasu. W jadalnym pokoju latem i zimą płonął ogień na olbrzymim kominie. Przed ogniem, na fotelu, krytym ceratą, siadywał mój ojciec. W pamięci mojej staje zawsze na tym fotelu i przed tym kominkiem, ze swą wysoką postacią naprzód pochyloną, z długą, jasną brodą, która długo nie siwiała, ubrany w odwieczną węgierską czamarę. Pasyą mego ojca było myśliwstwo; dwór nasz, bardzo liczny, zwyczajem okolicy, posiadał jeszcze całą armię dojeżdżaczy. Dziedzińce i sienie roiły się od chartów, gończych i ogarów. Cóż to był za skowyt, pisk, szczekanie, gdy mój ojciec ukazał się na ganku i zawołał gromko: „Do nogi!” Gospodarstwa ojciec nie lubił nigdy i mało się niem zajmował. Spoczywało ono na barkach starego Simonda, ekonomy, i na głowie ciotki Jadwisi. Kłótnie między nimi nie ustawały ani na chwilę, ale szło to jakoś. Ciotka Jadwisia dzień cały była w ruchu i dzień cały na kogoś burczała. Nie gderwała, nie gniewała się, tylko burczała. Twarz miała wiecznie schmurzoną, co tworzyło przeciwieństwo z jej poczciwymi oczami. Chodziła zawsze krokiem zamaszystym, pomimo małego wzrostu, i miała specjalne zamiłowanie do noszenia kożuszków krytych sukniem, sięgających kolan. Stanowiło to jej strój codzienny, tak zimą, jak latem. Jak mój ojciec

za polowaniem, tak ciocia Jadwisia przepadała za kartami. Siadała zawsze do preferansa „na czwartego”, chociaż grała fatalnie i choć ciągle z tej racji zносиła wymówki swoich partnerów.

Ojciec mój i ciotka przetrwali wspólnie dużo bied i dużo żałoby. Ojciec pochował dwie żony, syna jedynaka i synowę. Po tej przedwcześnie zmarłej parze pozostała córeczka, Zosia, oczko w głowie nas wszystkich. Gdy ojciec żenił się poraz drugi z moją matką, miał już blisko pięćdziesiątkę i syna dorosłego, to też synowica moja była tylko o sześć lat młodszą odemnie. Pomimo to, uważałam ją za rodzaj córeczki.

I ojciec i ciotka dbali bardzo o moje wychowanie. Miałam zawsze dwie nauczycielki: jedną Warszawiankę, a drugą Francuzkę. Były to łączniki, wiążące mnie z szerszym światem. One to, oprócz wielu innych rzeczy, wyszczególnionych w „Planie nauk”, który wisiał w mym pokoju, nauczyły mnie ubierać się i czesać modnie; nauczyły, że są na świecie ładne rzeczy, jak flirt, miłość. Ostatnia z mych nauczycielek, panna Stefania Wilecka, poznałomiła mnie nawet z tak zwanymi „sprawami społecznymi,” których sama była gorliwą rzeczniczką. Długie godziny spędzałam, chodząc z nią pod rękę po wielkich pokojach, które zmrok szarą zasłoną powlekał, i słuchając zapalonych opowiadań o niesprawiedliwości ludzkich urzędzeń, o pracy dla młodszej braci, o ucisku kobiet i o studentach. Studenci i doktorzy często występowali w opowiadaniach panny Stefanii. Uważała ich za ideał ludzi. Prawdziwy rozum i prawdziwa nauka były stanowczo ich monopolem.

Pod jej wpływem zaczęłam czytać rozmaite socjologie i ekonomie, a także apostołować gorliwie różne Hanny i Paraski, które baraszkowały boso pod dworze pod pozorem pilnowania gęsi, indyków i tym podobnych stworzeń.

Głębiej mnie jednak wzruszały i przejmowały

silniej rozmowy z M-lle Marguerite. Była to Francuzka „du Midi”, jak z dumą zwykła to była zaznaczać, ładna, żywa i niezmiernie sentymentalna. W sprawach uczucia była nieomylną wyrocznią; w życiu swem przeczytała tyle romansów, że teoretycznie знаła wszelkie arkana tej kwestyi. Wiedziała, jak odgadnąć miłość po drżeniu głosu i po zmianie twarzy; wiedziała, jakim powinno być pierwsze spojrzenie dwojga ludzi, których Bóg przeznaczył dla siebie; wiedziała, jakie słowa przy wyznaniu miłosnem wywołują bladość na twarzy i wiele innych rzeczy w tym rodzaju.

Po tych rozmowach marzyłam długo przy oknie, wpatrzona w księżycowe blaski, albo wsłuchana w ciszę tajemniczą ciemnych nocy.

Wogóle marzyłam dużo; mogę nawet powiedzieć, że marzyłam ciągle. Leżało to już w naturze mojej, a rozwijane było jeszcze wskutek spokojnego życia, usposabiającego do wnikania w siebie, a także przez ogólny nastrój, jaki wiał od naszej w pół-poleskiej krainy, nastrój zadumy i cichej melancholii. Wobec tych nieskończonych rozłogów, w których i myśl i oko ginęły bez oporu, nie znajdując przedmiotu, na którymby się mogły zatrzymać, cóż robić innego, jak dumać, dumać bez końca?

Kochałam nasze senne płaszczyzny, takie smutne dla obcego przybysza; kochałam te ogromne, wolne przestrzenie, po których wichry wyprawiały harce. Rosły mi skrzydła u ramion, gdy się w nie wpatrywałam.

Nie znałam zupełnie życia, a myślałam o niem ciągle. Przedstawiało mi się takie ciekawe, takie barwne, takie piękne! Tam, gdzieś daleko, na krańcach naszych sinych pól, za nieskończonymi lasami, zaczyna się „świat”. Na tym świecie czekała przygotowana dla mnie moja cząstka szczęścia i czekał „on”. Do cząstki szczęścia, niemałej wcale, dawała mi prawo młodość, która jest snem złotym, cudo-

wnym, według poetów, pasmem promieni, zachwyków, uniesień. Wszystko to miało się zacząć dla mnie z chwilą, gdy poznam „jego”. Dzieje się tak zawsze w każdym romansie, z każdą młodą osobą; w życiu inaczej też być nie może.

Wszystkie szczegóły naszego poznania, wszelkie dalsze perypetye, miałam jasno i szczegółowo ułożone w głowie.

Bywały między niemi i przejścia dramatyczne, bywały i łzy, ale wszystko kończyło się zawsze dobrze i na naszym horyzoncie było zawsze słońce, bo myśmy się tak kochali! tak kochali! W słowniku naszym nie było innych wyrażeń, jak: „najdroższa! ukochany! mój sokole! mój aniele” i inne w tym rodzaju. Naturalnie, tak miało być przez całe życie. Wszak miłość idealna nasza była w najwyższym stopniu idealna, trwa przez całe życie i nie zna, co to starość.

Żyłam w ciągłym oczekiwaniu, kiedy to się zacznie? W niektórych romansach bohaterki miały zaledwie po lat szesnaście. W dniu, w którym dosięgłam tego upragnionego wieku, powiedziałam sobie: „Trzeba się przygotować, może „to spotka mnie w tym roku”. Jedynym jednak ewenementem w tym roku było to, że sprowadzono mi pierwszą długą suknię z Warszawy, za wyborem i pośrednictwem którejs z nauczycielek. Czekałam ciągle i coraz niecierpliwiej. Tymczasem z każdą wiosną szumiały spienione strumienie, z każdym latem wrzała gorączkowa praca sianokosu i żniw, z każdą jesienią przychodziły długie, śmiertelnie smutne słoty i z każdą zimą słały się białe, nieskończone, równe morza śniegów, a w życiu mojem nie się nie zmieniało. Uczyłam się coraz mniej, czytałam i marzyłam coraz więcej. Zostawiano mi kompletną swobodę. Obowiązkowego zajęcia nie miałam wcale. Ciocia Jadwisia despotycznie rządziła całym gospodarstwem i nie znosiła „wtrącania się”. Ojciec mój znajdował, że dla panienki mego

wieku i stanowiska jedynem odpowiedniem zajęciem jest książka lub fortepian, a gdy ukończyłam lat ośmnaście, odjechała moja ostatnia nauczycielka.

Szara godzina zmierzchu była chwilą, którą wybrałam na samotne swoje przechadzki. Idąc sobie w towarzystwie Reksa, mego faworyta wyżyła, myślałam: „Z której też strony przybędzie do mnie moje szczęście? Tą moją ulubioną drogą przez las, albo może groblą wysadzoną wierzbami? Może je spotkam właśnie?” Serce mi biło, gdy zdaleka słyszałam turkot jaki, ale rozczarowywałam się prędko, poznawszy w jadących żyda kupca, albo pana Januarego, najbliższego sąsiada, który przybywał na „preferka”.

Pewnego dnia w ciągu zimy przybyli nam bardzo rzadcy i niezwykli goście z sąsiedniego powiatu. Była to cioteczna siostra mego ojca, pani Józefowa Błamowicka z córką.

Mani nie znałam wcale, ciotkę zaledwie parę razy w życiu widziałam. Pani Józefowa, bardzo serdeczna, wesółka i ładna jeszcze kobieta, robiła wymówki memu ojcu zato, że tak zaniedbał stosunki rodzinne.

— Dzieci nasze nie znają się nawet, to wstyd doprawdy, Kajetanie. Widzisz, ja zrobiłam początek: skorzystałam z doskonałej sanny i przyjechałam. Ale mam nadzieję, że na tem nie będzie koniec.

Ojciec mój, z natury bardzo gościnnie, zachwycony był przyjazdem kuzynki. Napędzał wszystkich, żeby gotowali jak najlepsze przyjęcie i zapewnił panią Józefową, że gdy tylko na wiosnę obeschną drogi, przyjedzie do Sławina z Zosią i ze mną.

My tymczasem z Manią spoglądałyśmy na siebie ciekawie. Kuzynka moja była zgrabna i ładnie ubrana, miała śliczną, różową cerę, jasne włosy i oczy pełne życia.

— Czy już bywasz w świecie? — zagadnęła mnie.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

— Byłam trzy razy w Wilnie z ciocią Jadwią, jeździłyśmy do Ostrejbramy.

— Ale na balach czy bywasz?

— Nie byłam dotąd na żadnym.

— Czyż być może? Ileż ty masz lat?

— Dziewiętnaście.

— No, to ja młodsza jestem od ciebie, a od dwóch lat bywam na wszystkich wieczorkach w okolicy. Tego lata byłam nawet na jednym dużym składkowym balu. To ty może tańczyć nie umiesz?

— Umieć. Był u nas przez całe jedno lato pan Rawski, metr tańców, i uczył mnie, a nawet i Zosię. Przyjeżdżał także Kazio, syn pana Januarego, naszego sąsiada, i tańczył z nami.

— I nie byłaś nigdy na żadnych nawet imieninach tańczących, na żadnym kuligu?

— Nie — odpowiedziałam smutnie i z upokorzeniem.

— Biednaś ty, Józiu! Mamo, mamó, czy mama słyszy? Józia do tej pory nie była na żadnym, najmniejszym wieczorku!

— Oho! zacheiało się Mani wieczorków! — rzekł mój ojciec. — My tu zapomnieliśmy, jak to wygląda!

— Młodym rozrywka potrzebna, nawet konieczna — powiedziała ciotka Józefowa. — Trzeba pomyśleć o tem, żeby się i Józia pobawiła trochę, trzeba, Kajetanie.

— Ma czas, taka smarkata! — rzekł mój ojciec, który do tej pory miał mnie wciąż za niedoroślą dziewczynkę.

Ciotka Józefowa nachyliła się do ucha ojcu i poręczała coś szeptać; wysłuchał wszystkiego, napychając jednocześnie fajkę, potem powiedział:

— Nad tem głowy sobie nie suszę; znajdzie gdy tylko zechce sama. Posag daję dobry, 50,000 na stół.

— Ale trzeba, żeby o tem ludzie wiedzieli.

— Ba! Takie rzeczy zwęszą prędko! Zosia

weźmie Trocicze, bo zawszeż ona po mieczu, a tej dam kapitał. Będą sobie mogły przebierać.

Rozmowa ta mnie była obojętną, ale zainteresowała naszych gości. Mania spojrzała na mnie z pewnym szacunkiem, a ciotka Józefowa zamysliła się.

Mania zaczęła mi opowiadać o tem, jak wesoło w ich okolicy, jak tam dużo sąsiedztwa i jakie blizkie. Teraz na zapusty ma być duży wieczór o kilka wiorst od Sławina, a potem w Sławinie będą żywe obrazy i tańce. Na zapusty przyjadą chłopcy, bracia jej z gimnazyum; przyjedzie może Bolek, najstarszy, który odbywa służbę wojskową. Urządzą pewno jakiś kulig, bo oni lubią wozić panny na swoich koniach; niejednego już skaleczyli taką jazdą, ale co tam! wesoło zato! Ona, Mania, z nikim innym nie jedzie na taki kulig, jak z panem Olgierdem, i chociaż ciągną losy, ona zawsze tak kartki pomiesza, że ich dwie razem wypadną. Nie chodzi im o to, żeby wszystkich wyprzedzić, niech tam sobie Bolek leci pierwszy: oni jadą na końcu, bo chcą, aby ta jazda dłużej trwała. Raz nawet udali, że zabłądzili...

Słuchałam tego wszystkiego, jak bajki. Mimowoli porównywałam swoje życie z tem opowiadaniem i mimowoli też myślałam z uczuciem buntu: „Dlaczego i ja tego nie znam? Dlaczego i ja?”

— Ach! Maniu — zawołałam z uniesieniem — jakżebym ja chciała do was pojechać!

— Jedź teraz z nami, my cię zabierzemy. Spędzisz u nas czas zapust, będziesz na tych dwóch zabawach... Jedź, Józiu!...

— To dobra myśl — powiedziała matka Mani. — Daj nam Józję, Kajetanie, na czas zapust. Niech się i ona biedaczka zabawi choć raz. Józju, prosz ojc!

Rzuciłam się ojcu na szyję, całowałam po rękach. Wzruszył się, odłożył fajkę, pogładził mnie po głowie i powiedział:

— A to jej się zachciało! nie żartem! No jedź, smarkata, kiedyś taka łakoma na tańce!

Skakałam z radości. Pobiegłam do cioci Jadwisi i do Zosi, aby się z niemi tą wiadomością podzielić. Zosia odbywała lekye z Francuzką. Gdy wysłuchała mych urywanych wykrzykników i zrozumiała, o co chodzi, oczęta jej zabłysły, zerwała się od stołu i podskakując, zaczęła wołać:

— Ciocia nas nauczysz po powrocie, jak to trzeba tańczyć i rozmawiać z prawdziwymi panami!

— *Mademoiselle va dans la monde*— powiedziała M-lle Louise, z zajęciem spoglądając na mnie.

Ciocia Jadwisia jedna burczała.

— Kto wie, na co to potrzebne i do czego podobne. Rozduszą tam ciebie. U Błamowickich ciągle „hu! ha!” goście, tańce, imieniny, a grosz grosza nie zgoni, długów po uszył!

Cóż mnie to mogło obchodzić! Sławin przedstawił mi się jako raj, w którym czekały na mnie różne nieznane mi rzeczy, pełne wesołości i uroku i... któż zaręczy, że nie „ou!”

Nocy tej nie zmrużyłam oka, ciągle myśląc o tem mojem pierwszym zetknięciu ze światem. Roily mi się cuda...

II.

Zmrok zapadał, gdyśmy po dwóch dniach drogi końmi dojeżdżały do Sławina. Powiat X. w niczem nie przypominał smętnej naszej okolicy. Zniknęły lasy, zniknęły płaszczyny. Białe płaszcz śniegu garbił się ciągle na wzgórzach i wzniesieniach, zaścielał jary i wąwozy. Tu i owdzie, zamiast naszych świerków i sosen, widać było małe brzozowe gaiki, a wioski i dwory wyrastały jak z pod ziemi za każdą górką.

Niewielki dom sławiński miał wszystkie okna jasno oświetlone, a gdyśmy weszły do przedpokoju, powitał nas taki gwar, że o mało głowy nie straciłam. Dwóch wyrostków w gimnazyalnych bluzach, dziewczynka w wieku mniej więcej Zosi, chłopczyk siedmioletni i mniejsze jeszcze bobo, nie licząc kilku osób służby, wszystko to napadło na nas z wrzawą, z krzykiem, ze śmiechem. Jak w tym hałasie można się było porozumieć, nie pojmuję. Mania jednak bynajmniej nie straciła głowy, odpowiadała wszystkim naraz i śmiała się głośniejsz od nich. Pomyślałam sobie, że nasz dom w Trociczach musiał się jej wydać chyba kościołem, albo cmentarzem w porównaniu.

Cała gromadka rzucała na mnie ciekawe spojrzenia. Mania przedstawiła mi z kolei rodzeństwo, ale wszystkie imiona pomieszały mi się w głowie.

Chłopcy popatrzyli na mnie z ukosa, coś poszeptali między sobą i roześmiali się tym specjalnym imperytynenckim śmiechem gimnazystów, a mała Dzina wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do pokoju, który miałam zajmować razem z nią i z Manią. Idąc, zwiastowała mi, że ma teraz wakacye z racyi zapust, że Kostuś i Oleś wczoraj przyjechali ze szkół, że Bolka czekają na niedzielę zapustną.

— Ty nie znasz Bolka — mówiła Dzina z powagą, wstrząsając długimi włosami, rozpuszczonemi na ramiona. — Ładny jest i ślicznie tańczy. Pewno się w nim zakochasz!

Zarumieniłam się jak wiśnia i jednocześnie zdumiałam. Taki knot prawi o zakochaniu!

— A może ty już w kim innym jesteś zakochana?— badała Dzina, ciekawie spoglądając na mnie.— Bo Mania to kocha się w panu Olgierdzie, pan Olgierd w niej, panna Henia, moja nauczycielka, w Bolku, Bolek to coraz w kim innym, a Kostuś w Teni Rączewskiej, naszej sąsiadce.

W głowie mi się zakręciło od tyłu naraz wiadomości. Więc w świecie wszyscy są zakochani, tylko ja jedna... co za wstyd!

Do pokoju wbiegła Mania, a z nią bardzo młoda i ładna brunetka, którą mi przedstawiono jako nauczycielkę Dziny i Stasia. Panna Henia dręczyła Manię jakimiś listami i posyłkami, któremi codziennie w czasie jej nieobecności pan Olgierd miał bombardować Stawin, a które wszystkie zostały skonfiskowane przez ojca Mani; obie przytem śmiały się, jak szalone, a Dzina im wtórowała, ciekawie nastawiając uszka na ich rozmowę.

— W niedzielę, Heniu, w niedzielę! — wołała znacząco Mania, w pół porywając zarumienioną pannienkę i walcząc z nią po pokoju.

Patrzyłam na nie i z całej duszy pragnęłam stać się, jak one, wesołą i swobodną, i mieć, jak one, swoje rozkoszne tajemnice...

Przy kolacyi ujrzałem wuja Józefa. Jak wszyscy mieszkańcy tego domu, był wesół i niefrasobliwy. Przez cały czas kolacyi dokuczał Mani, Heni, mnie, przy wtórze głośnych i złośliwych śmiechów synów.

— Trzy panny w domu!—mówił wuj Józef, patrząc na nas z pod brwi wzrokiem filuternym.—Trzeba częstokół koło domu umocować, stróżów nająć, psy z łańcuchów spuścić. Toż to napad będzie kawalerów. I kto ich upilnuje, miły Boże!

— Po co pilnować, tatku? Niech biorą!—wołała Mania swoim cienkim głosikiem.

— Patrzcie ją, jaka skora! — mówił pan Józef, biorąc ją za ucho, na co dzieciarnia parsknęła głośnym śmiechem.

— Cóż słyhać z wieczorem w Będzinie?—spytała ciotka.

— Ależ cuda będą!—zawołała Henia.—Muzyka pułkowa, tancerzy huk, ordery kotylionowe podobno z Warszawy sprowadzone!

— Słyszysz, Józiu, słyszysz!—wołała Mania.

Słyszałam i oczy mi się śmiały, a serce biło mocno i radośnie.

— Czego te panny tak się cieszą przed każdym bale? — sentencyonalnie wygłosił Oleś. — Może ich nikt do tańca nie wzięć i mogą przez cały wieczór nogą nie ruszyć. Co innego my: z temi będziemy tańczyli, które sobie wybierzemy.

— Z dyscypliną będziesz tańczył — powiedział pan Józef, robiąc srogie oczy, co w obozie panieńskim wywołało wielką uciechę, a u chłopców konfuzję.

Wieczorem układałam swoje rzeczy przy pomocy Heni, Mani i Dzini i przy ich chóralnym, nieustannym szczebiocie. Kręcił nam się nieustannie mały Staś, potrzaskując bacikiem i podśpiewując sobie: „Czarny pajączek! czarny pajączek!...” Tak mi przytem uporeczywie zaglądał w oczy, że złapałam go wreszcie, choć się wyrywał i spytałam:

— Co ty tam pleciesz, bąku mały?

— Czarny pajaczek! ty jesteś czarny pajaczek!

— Stasiu, proszę być grzecznym! — napomniała go jego mentorka.

— To Kostuś i Oleś tak ją nazywają, bo mówią, że mała, chuda i czarna! — krzyknął i uciekł, zanosząc się od śmiechu.

Zaczerwieniłam się i łzy mi stanęły w oczach.

Co za nieznośni chłopcy; jakże ja ich niecierpiałam! Panienki spoglądały na mnie z zakłopotaniem, a zarazem badawczo, jak gdyby chciały sprawdzić trafność określenia Stasia.

— Wiesz co — rzekła po chwili Henia, z którą zdażyłam już przejść na „ty” — że ty się źle czeszesz, Józiu! Masz bardzo duże czoło i zanadto je uwydatniasz przez takie zczesywanie włosów w górę. Cała twarz przez to staje się mizerniejszą.

Nie powinnaś też nosić takiego jasnego, niebieskiego koloru, jak ten twój karczek dzisiejszy — mówiła Mania. — Ani niebieskiego, ani paśowego, ani jasno-zielonego. Masz za ciemną cerę do tych kolorów.

Słuchałam mocno zmartwiona. Dotąd chlubiłam się zawsze z tego, że mam wysokie, „rozumne” czoło, jak powiadały nasze nauczycielki, a tu mi je każą zakrywać. Miałam swoją sukienkę popielatą za arcydzieło sztuki krawieckiej, a oto dowiaduję się, że nie powinnam jej nosić!

— Jaką suknię będziesz miała na wieczorne w Będzinie? — spytała znów Mania.

— A właśnie, że koloru seledynowego, chociaż ty znajdujesz, że nie powinnam takich nosić — rzekłam zafrasowana.

— Czemuż sobie wybrałaś ten kolor?

— Ojciec ofiarował mi w tym roku jedwabną suknię na imieniny. Sprowadziliśmy próbki z Warszawy i ja wybrałam seledynową w błyszczące punkiki, bo podobała mi się bardzo.

— Czy wycięta twoja sukienka?

— Nie, nie mam żadnej wyciętej.

— A tam wszystkie panie będą miały suknie do gorsu. Trzeba wyciąć i twoją. Zabierzemy się do tego, prawda, Heniu?

— Naturalnie. Musisz się ładnie sprezentować, moja Józiu! Wszak to twój pierwszy bal.

III.

Pierwszy bal! I kto wytłómaczy, dlaczego młode dziewczęta tyle o tem roją, tyle oczekują od tak zwyczajnej w gruncie zabawy? Zdaje się czasem, że razem z tym pierwszym balem niebo się przed nimi otworzy, że wkroczą w jakąś zaczarowaną krainę, o której dotąd śnić zaledwie było wolno. Z tym pierwszym balem „wszystko się zacznie,” wszystko, to jest to, o czem marzą rozpalone ich główki i żywo, a bez celu bijące serduszka. Tymczasem...

Ja marzyłam, czekałam i roiłam tak, jak żadna chyba: rwałam się prosto do życia, całą mocą bardzo gorącej duszy, całą siłą więzionej dotąd młodości. Co jest to życie? W ówczesnem mem pojęciu była to karta z romansu: on, miłość, wyznanie, przysięgi. Od czasu, gdy poznałam Manię, jako tło dawałam wir zabaw, dźwięki muzyki, upojenie tanczeczne. Bal jest to tajemnicza, a czarodziejska chwila, chwila, utkana z woni, z dźwięków, ze słów miłości, która niesie z sobą bezwzględne szczęście. I od takiej to chwili dzielą mnie dwa dni, dzień jeden... już tylko noc... już tylko kilka godzin...

— Józia nic nie je... Z wiatrem ulecisz, tancerz ciebie w ręku czuć nie będzie! — wmawiał wuj Józef, patrząc, jak odsuwałam pełne talerze.

— Zbyt rada jestem i zbyt wzruszona, wuj! Nie mogę jeść.

— Nie spała dziś—oskarżyła mnie Mania.—Co prawda i ja nie bardzo spać mogłam z racyi tych nieznośnych papilotów.

— Bójcie się Boga, panny, jakże wy będziecie wyglądały na balu! Dobrze, że to już jutro koniec, bo gotowe jesteście suchot dostać.

Chłopy zanosili się od śmiechu na widok naszych głów, owiniętych w chustki, aby nie zepsuć misternych papilotów; krażyli koło nas i wynajdywali coraz nowe porównania, ale któżby tam na nich zwracał wówczas uwagę!

Pojechałyśmy wreszcie; toaleta nasza miała się odbyć na miejscu, w Będzinie.

Sanki sunęły cicho a szybko wśród zmroku; powietrze, niebo, śnieg, wszystko miało jakiś ton szafirowo-liliowy, zaświatowy ton z baśni. Na polach panowała ogromna cisza; czasem tylko z przydrożnego drzewa zrywała się spłoszona kawka i ulatywała sennym, ciężkim lotem. Gruby głos stangreta, którym hamował konie, niósł się daleko wśród uspionej przestrzeni.

Mnie ogarnęło całą to słodkie a niepokojące uczucie wyczekiwania wielkiej radości. Jazda ta wśród coraz gęstszego zmroku miała dziwny urok, radabym ją była przedłużyć. Ale oto z po za bezlistnych gałęzi błyska szereg jasno oświetlonych okien, dochodzą do nas głosy ludzkie, rzenie koni, brzęki dzwonek u sanek odprzęganych.

— Będzin!—woła Mania.

Z ciszy, z wolnej przestrzeni w gwar, w zamęt, w ciżbę, ze zmroku w olśniewające światło... Głowa mi się kręci. Znajdujemy się w niewielkim pokoju, przesyconym zapachem różnorodnych perfum, gorącym od płomienia kilku lamp i kilku maszynek spirytusowych. Wykrzykniki, powitania, szelest jedwabiu...

pośpiech, bieganie, nieporządek. Z dziesięć pań zamkniętych w tym jednym pokoju, jedno się ubierają, drugie im pomagają. Ubieramy się i my. Wkładam suknię, odurzona tem wszystkim; do lustra nie mogę się docisnąć ani na chwilę, nie mam pojęcia, jak wyglądam w tej pierwszej balowej sukni. Mniejsza z tem zresztą. Gdzieś z głębi pokojów odzywają się dźwięki próbowanych instrumentów. Mania ścisza mnie za rękę, ja zaczynam drżeć.

Wechodzimy do salonu. Tu chłodno i przestrono... Pod ścianami wieniec różnobarwnych sukien, we drzwiach stłoczona gromada czarnych fraków. Pochylają głowy, gdy przechodzimy, Mania i Henia odpowiadają z uśmiechem. Paru z ufrakowanych idzie za nami.

— Panno Maryo, pierwszy mazur, przypominam!

— O pierwszego kadryla wolno prosić?

— Tańczymy kotyliona, pauno Henryko!

One śmieją się i coś odpowiadają z zalotnym ruchem główki.

Witamy się z gospodarzami, młodą, niedawno poślubioną parą. Potem siadamy i wtedy brat pani domu, który ma prowadzić tańce, młodzieniec sztywny i widocznie przejęty ważnością swego zadania, prowadzi do mnie po kolei czarne fraki. W oczach migają mi się coraz nowe twarze, czupryny różnych odcieni, automatycznym ruchem skłaniają się przedemną, pan Kelski coraz coś wymrukuje niewyraźnie, jednostajnym tonem.

Skończone, znam już wszystkich, nie zbraknie mi tancerzy...

Walc!... cudny, śpiewny, rozmarzony walc!... Przypominam sobie w tej chwili z gorączką wszystkie wskazówki Rawskiego, wszystkie nauki Mani... Oby tylko dobrze poszło! I który też będzie pierwszym moim tancerzem? Patrzę po wszystkich i staram się odgadnąć... Oto spogląda w naszą stronę

jakiś brunecik, idzie już, zmierza ku nam... i kłania się przed Manią. Teraz znów jakiś wysoki pan dąży przez salon w nasz kącik... zaprasza Henię. W salonie coraz więcej par, już wszyscy tańczą, cały szereg krzesel po mojej stronie pusty, tylko ja siedzę. Kiedyż nareszcie? Moje obie towarzyszki wracają ledwie na chwilę, tańczą ciągle, oczy im się śmieją, całe są różowe, wachlują się zawzięcie.

Mój Boże, jakże musi być miło być tak zmęczoną tańcem! Nareszcie!... Przedemną staje pan Kelski, wydaje się zmęczony, nie dziw, bo ciągle tańczy. Po jednym turze sadza mnie na miejsce. Szkoda, tak było przyjemnie!... Ciotka Józefowa przywołuje do siebie Kostusia i coś mu szepcze; chłopak, ociągając się, idzie ku mnie i zaprasza mnie do tańca. Potem siedzę znów aż do końca walca.

Po walcu prawie natychmiast brzmi pobudka do kontredansa. W salonie roznoszą chłodniki; odsuwam je smutnie, mnie nie jest gorąco!

Pan Kelski kręci się po salonie, zbiera pary, vis à vis. Tancerze podchodzą do pań i prowadzą je na miejsca. Ja zostaję; zbiera mi się na łyzy.

Już wszyscy na miejscu, druga pobudka... Pan Kelski podbiega ku mnie.

— Z kim pani tańczy?

— Nie tańczę wcale.

Pobiegł śpiesznie do drugiego salonu, gdzie panowie grali w karty i bawił tam dość długo. Ukazał się wreszcie z powrotem, prowadząc pod rękę jakiegoś szpakowatego jegomościa, którego mi zaprezentował i który zaniósł do mnie uroczystą prośbę o kontredansa. Co prawda, były to jedyne słowa, które usłyszałam od niego; kontredansowe figury wykonywał z precyzyą, ale w kompletnem milczeniu.

Po kwadransie Mania zaciągnęła mnie do damskiego buduaru.

— Ach, jak ja pysznie się dziś bawię!—mówiła, przykładając wachlarz do rozognionych policzków. — Mazura tańczę z panem Olgierdem, kotyliona z Adasiem Ręczewskim, kondredansa z Kelskim. Najlepsi tancerze! Wiesz, pan Olgierd powiedział mi, że wyglądam dziś, jak polna różyczka!

Spojrzałam w lustro, przed którym stałyśmy obie, i Mania rzeczywiście uroczo wyglądała: jej śnieżna szyjka i śliczne okrągłe ramiona wychylały się ze zwojów różowej gazy, jak z kwiatowego kielicha; szafirowe oczy błyszczały jak gwiazdy, a drobne, jasne, figlarne loczki doskonałą tworzyły ramę do jej twarzy.

Od niej przeniosłam wzrok na swoją drobną postać, odbitą w lustrze, i mimowoli przyszedł mi na myśl: „czarny pajaczek!” To, co uważałam dotąd za absurd, wydało mi się wcale trafnem określeniem. Wycięta suknia uwydatniała chudość mych ramion i długość szyi, a jasna barwa jedwabiu rzucała mi na twarz jakieś blado-szare refleksy. W tej chwili zrozumiałam dlaczego nie tańczyłam...

O! moje tęczowe marzenia! mój pierwszy ball!

— Maniu!—zawołałam głosem pełnym łez, jedźmy już do domu!

Mania spojrzała na mnie, jak na wariatkę.

— Co tobie, Józiu? Bój się Boga! do domu teraz, przed mazurem?i... A może ty nie tańczysz?... Nie martw się, szepnę słówko panu Kelskiemu, to ci wynajdzie tancerza natychmiast!

I pan Kelski wynalazł mi rzeczywiście tancerza, jakiegoś onieśmiałego wyrostka, który w zakłopotaniu skubał nieustannie końce zbyt długich rękawiczek, a w *chaine* zdążył mi oberwać falbanę u sukni. Mazura odbywaliśmy oboje, jako istną pańszczyznę; z mojego kąta, gdzie mnie nikt nie turbował wybieraniem do figur, jako jedyną rozrywkę miałam widok innych par, które się zdawały tak bawić, tak bawić...

I dlaczego na mnie tak nikt nie patrzy, dlaczego do mnie nikt się nie uśmiecha, jak do tych innych?

Resztę balu przeżyłam, leżąc na łóżku w oddalonym pokoju, do którego dolatywała stłumiona balowa wrzawa. Udawałam, że śpię, a duże łzy spadały jedna po drugiej z pod przymkniętych powiek. Opłakiwałam pierwsze moje rozczarowanie!...



IV.

— Dziś Bolek przyjeżdża!

Wiadomość ta wszystkich elektryzowała, powtarzano ją sobie ciągle. Chłopcy mówili nieustannie o polowaniach, w których Bolek miał przewodniczyć, Staś powtarzał różne ćwiczenia gimnastyczne, którymi się chciał pochwalić przed nim, Mania układała na każdy dzień pobytu brata nową zabawę; Henia, na wzmiankę o tym przyjeździe, rumieniła się powyżej uszu, a Dzina wzięta mnie za rękę, poprowadziła do odległego pokoju i rzekła z minką wielce tajemniczą:

— Przysięgnij, że mnie nie zdradzisz, to powiem ci wielką tajemnicę!

— Mów śmiało! — powiedziała ubawiona i zaciekawiona razem jej uroczystym tonem.

Dzina obejrzała się na wszystkie strony, czy kto nie podsłuchuje, zbliżyła buzię do mojego ucha i szepnęła cichutko i dobitnie:

— Mama chce, żeby się Bolek z tobą ożenił!

Potem odskoczyła i spoglądała na mnie tryumfująco.

— Zkądże ty wiesz o tem? — spytałam, rumieniąc się, jak Henia, po same uszy.

— Słyszałam, jak mama mówiła to wczoraj tatusiowi. Siedziałam za firanką i ubierałam lalkę dla Baśki, nie widzieli mnie i rozmawiali o tem.

Chcą, żeby się Bolek ze mną ożenił. Wiadomość

ta rozkołysała znów moje myśli bardziej jeszcze, niż oczekiwanie pierwszego balu. Ten Bolek, o którym zawsze slysze! A moze to wlasnie „on,” mój przeznaczony.

Zapomniałam o świeżych zawodach i zaczęłam znów snuć tkankę cudnej powieści. Przyjdzie, spojrzysz na mnie—i zrozumiemy się odrazu. Poznamy siebie po wzajemnem wzruszeniu, po bladości twarzy... Gdy zostaniemy sami, on zbliży się, weźmie mnie za rękę — i ze wzruszenia słowa nie będzie mógł przemówić...

— Bolek, Bolek przyjechał!

W całym domu powstał hałas, wszyscy wybiegli do przedpokoju, gdzie nad wrzawą zapanował wkrótce młody, dźwięczny, donośny głos, który opowiadał coś i śmiał się serdecznie. Ja tymczasem stałam w salonie bardzo wzruszona. Głosy zbliżały się.

— Kuzyneczka! o, to dobrze! Trzeba się z nią zaraz zapoznać!—wpadło mi do ucha.—A czy ją można odrazu ucałować, mamo?

Stałam w płomieniach. Tymczasem drzwi się otworzyły, do pokoju wpadła cała sławińska gromada z młodym wojskowym na czele.

— Józiu, to Bolek!—wołała Mania.

On stał przedemną, zgrabny, wysoki; z jego niebieskich oczu, podobnych do oczu Mani i z uśmiechu war^o pasowych, rozchylonych na śnieżnych zębach, dość życia i bujna młodość. Patrzył na mnie z początku ciekawie, potem jakby ze zdziwieniem, ścisnął rękę, którą mu podałam i zawołał zaraz:

— Gdzież panna Henryka? nie widzę panny Henryki! Chodźmy jej szukać!

Wypadł z salonu, a z nim rodzeństwo. Patrzyłam za nimi, myśląc: jaki on miły i jaki ładny! Ale czemu nie pocałował mnie w rękę? Wszak miał do tego prawo!

Mimowoli poszłam w stronę, z kąd dochodziły ich głosy. Henia stała wciśnięta w okienną framugę,

zmieszana i zawstydzona, przed nią Bolek żywo gestykulując, a z boku Dzina przysłuchiwała się ich rozmowie, ciekawie wznosząc na nich błyszczące swe oczki.

— Ja lecę, pędzę, jak szalony, dniem i nocą, przyjeżdżam, a pani nie raczy nawet mnie przywitać! W tej chwili zabieram się i jadę z powrotem!

— Szczęśliwej drogi, żegnam pana!—mówiła Henia, patrząc na niego figlarnie z pod rzęs.

— Nie wyjadę jednak, dopóki pani się nie wypłaci z przegranego zakładu. Pisałem do Mani, że przegrała pani z kretesem; czy mówiła o tem?

— Sama ten list czytałam...

— To pani czytuje moje listy? Ach, doprawdy! Jakże mi słodko taką rzecz usłyszeć! Niechże podziękuję zato!...

Wziął jej rękę, którą szybko wyrwała i schowała za siebie.

— A pani pamięta, że zakład był *à discrétion*?

— Bolku, przestań flirtować i słuchaj, co ci powiem — rzekła Mania, która przed lustrem układała włosy.—Jutro niedziela...

— Zapustna, wiem o tem...

— Zrana pojedziemy do kościoła.

— Ja powiozę pannę Henrykę...

— Powieziesz Józię — powiedziała Mania z powagą.

— Ale nie — rzekłam prędko, przemagając nieśmiałość—skoro kuzyn chce wieźć Henię...

— Powiozę obie panie — rozstrzygnął kwestyę Bolek.

— Słuchaj, co dalej. Na obiad zaprosimy wszystkich z kościoła, gdy się zmierzchnie, zajmiemy się przygotowaniem żywych obrazów.

— Będą żywe obrazy?

— A jakże. Trzeba nawet, żebyś zawiesił kurtynę w saloniku, bo nikt nie jest taki wysoki.

— Co będziemy przedstawiać? Niech będzie sen

Jakóba, ja będę Jakóbem, a wszystkie panie aniołami, unoszącemi się nademną!

— Ale gdzie tam! To także oklepanel!

— To może Kopciuszka? Ja będę wkładał pantofelek tej z pań, która udowodni, że ma rzeczywiście kopciuszkową nóżkę...

— Niech pan głupstw nie mówi! Józia się gorczy!... Będziemy przedstawiać niektóre obrazy z Grotgerowskiej „Wojny!”

— Ach, Boże! Na „Pożogę,” to można będzie oborę podpalić, ale z kąd wziąć tyle trupów na pole bitwy?

— Ach, jak ty pleciesz!—zawołała Mania, podczas gdy Henia i jej uczennica wybuchnęły śmiechem. — Przerywasz ciągle, nie mogę skończyć. Po tem wszystkim wyniesiemy niepotrzebne meble z salonu i będziemy tańczyć!

— Brawo! to będzie najlepszy żywy obraz! Ale jakąż rolę mnie przeznaczacie w przedstawieniu? Jeżeli mam być Grotgerem, to muszę się zgolić.

— Szkoda wąsików—szepnęła Henia.

— O, pan! Ale anioła wybiorę sobie sam.

— Kuzyn nie ma bardzo odpowiedniego typu na postać tego poety, czy malarza...

— To prawda, śliczny byłby z ciebie Grotger z twoją łobuzowską miną.

— Pani daje mnie dymisyę... Ha, cóż robić? Zawsze niesprawiedliwe! Nawet i moja nowa kuzynka! Wobec tego zmykam!

— Dobrze robisz, bo i my czasu nie mamy. Musimy przecież jeszcze kostyумы przygotować. Chodźcie panny!

Zszywając z prześcieradeł strój dla anioła, myślałam sobie: czy Bolek, to „on?” Zawiodło mnie trochę nasze pierwsze powitanie, ale wciąż przed oczami miałam jego młodą twarz, tryskającą wesołością i życiem i wciąż tylko mi brzmiał w uszach głos jego. Jaki on miły! Jakżebym chciała tak umieć

z nim rozmawiać, jak Henia! Trzeba spróbować, trzeba się otrząsnąć z nieśmiałości! A może w żywych obrazach dadzą nam jaką wspólną rolę! Jakże to będzie przyjemnie!

Do naszego pokoju, zmienionego na pracownię, wpadł Bolek, porozrzucił wszystkie nasze przybory, zaczął się drapować w kostyummy, przybierając odpowiednie pozy, aż go Mania z Henią wypchnęły za drzwi i zamknęły się na klucz.

Nazajutrz wszystko się odbyło według programu.

W ciepły słoneczny poranek, pachnący jakby da leką jeszcze wiosną, Bolek powiózł Henię i mnie do kościoła. Przez całą drogę usta się nie zamykały tym dwojgu; to się przekomarzali, to kłócili, to znów godzili. Oczy jej pełne były jakichś promieni i blasków, a on raz po raz spoglądał na nią, w uśmiechu rozchyłał pąsowe swe wargi.

Na mnie żadne z nich uwagi nie zwracało. Z początku wtrącałam się do ich rozmowy, ale poczułam prędko, że moje uwagi są tu zupełnie zbyteczne, we własnych mych uszach brzmiały jakoś fałszywie, więc dałam pokój. Przysłuchiwałam się tylko tej rozmowie, której rodzaj był mi zupełnie nieznanym, a zarazem dziwnie ponętym i zadawałam sobie pytanie:

— Czy on tylko dlatego jest taki inny dla Hani, a inny dla mnie, że ją zna o wiele lepiej? Czy tylko dlatego?

Niewyraźnie, mglisto zaczynało mi się majaczyć, że są całe kategorie wrażeń i przyjemności, niedostępnych dla mnie. Ale czemu? Ale za co?

Obiad dnia tego był gwarny w Sławinie. Po obiedzie Mania wszystkie panny zaciągnęła do swego pokoju i tam zaczęły się nieskończone narady nad żywymi obrazami.

— Kaziu, ty się tem zajmij—mówiła Mania do starszej panny Rączewskiej; tak ładnie umiesz wszystko urządzić i każdemu dać odpowiednią rolę!

→ Dobrze, ale musicie mnie słuchać. Dobiore

sobie do pomocy pana Bolesława i utniemy małą sesyjkę we troje, Maniu! Ale nie tu, bo panny tak hałasują, że nie można dojść do słowa.

Wybiegły na poszukiwanie Bolka, a Dzina, która do mnie żywiła wielkie zaufanie, przyszła mocno strapiiona powierzyć mi swoją troskę. Kazała wprzód przyrzec uroczyście, że jej nie zdradzę, a potem opowiedziała z wielce zasmuconą minką, że „dzieci,” bawiąc się, rozdarły kurtynę.

— Dzieci, to przecież nie ty—rzekłam, śmiejąc się—pocóż się niepokoisz za nie?

— Bo żal mi ich, że dostaną. Zresztą... i ja trochę!... Edzio mnie pchnął... Moja złota, czy ty umiesz szyć?

— Ja myślę.

— Józeczko, koteczko, ja ci dam nici i igły, pójdź tam, zeszyj ładnie, żeby znać nie było, żeby nikt nie widział...

— Dobrze, dobrze.

Ukryta w fałdzie kurtyny, zszywałam, jak mogłam najstaranniej, gdy na scenę z hałasem wpadły dwie panny i Bolek.

— No, niechże pan choć na chwilę będzie poważny. Doprawdy, z panem do ładu dojść nie można!—reflektowała Bolka Kasia Rączewska.

— Zlitujcie się, czas naglił! Zaraz zbiorą się wszyscy na przedstawienie, a tu nic nie postanowione!—mówiła Mania, mocno zaaferowana.

— A więc uwaga, otwieram sesję! Panna Katarzyna ma głos.

— Powiedz mi najprzód, Maniu, kto ma w tem wzięcie udział?

— No, z panów, pan Olgierd...

— Naturalnie... i naturalnie z tobą w jednym obrazie.

— Cicho być! Właśnie, że mama powiedziała, że ani Henia, ani ja, jako domowe, nie powinnyśmy

występować, chyba w takich rolach, których nikt nie chce!...

— A więc i kuzynka twoja także się nie liczy, naturalnie!...

— O! wcale nie! Józia jest naszym gościem, mama chce, ażeby występowała i miała dobre role.

— Bój się Boga! Taka brzydka! Zepsuje nam wszystko! Jakąż jej można dać rolę?

— Kiedy mama tak chce, Kasiu.

— Mama chce jeszcze lepszej rzeczy! Niech pani sobie wyobrazi, chce mnie z nią swatać, bo to podobno bogata panna.

— A pan co na to?

— Ja? Ożenię się i owszem, posag wezmę, a potem drapnę, gdzie pieprz rośnie. Ucieknę choć na koniec świata od brzydoty żony! To mi dopiero satysfakcja!...

Więcej nie słyszałam nic.

• • • • •

V.

Byłam bardzo naiwną i bardzo nieświadomą życia, ale umiałam się oryentować w danej sytuacji. Przejrzałam i zrozumiałam. Byłam zraniona do głębi duszy, ale ból odrazu z dziecka uczynił mnie kobietą. Nazajutrz po owej pamiętnej podsłuchanej rozmowie nie było mnie już w Sławinie. Z wielkim spokojem, ale ogromnie stanowczo, zapowiedziałam ciotce, że muszę wracać do domu — i rzeczywiście wyjechałam, pomimo próśb i nalegań. Był to pierwszy akt obudzonej do życia kobiecej godności.

W żywych obrazach i tańcach nie brałam wcale udziału. Za powód podałam nagłą gwałtowną migrenę. Usilnie się starałam, aby nikt nie domyślił się istotnego powodu mego wyjazdu i mojej migreny, to też dopóki byłam w Sławinie, zachowywałam sztuczny spokój i wesołość; dopiero gdy mnie w drodze otoczyły ciche, ośnieżone pola, gdy się poczułam zupełnie samą wobec Boga, wtedy żal mój wybuchnął z całą siłą.

Nie chodziło mi narazie o mocno zranioną miłość własną; sięgałam głębiej. Obsunął mi się poprostu grunt z pod nóg: w Sławinie zamknęła się cała jedna opoka mego życia, zostawiłam tam wszystkie marzenia i nadzieje, jakimi dotąd żyłam. Byłam

brzydka! Zdawało mi się, że razem z tą świadomością zatrzaśnięto przedemną drzwi jakieś, prowadzące do zaczarowanej krainy, ku której rwała mi się dusza. Jestem brzydka! Żegnajcie marzenia o miłości, o szczęściu, o śnie na kwiatach, o „nim!” Mnie kochać nie można, można najwyżej cierpieć jako konieczny dodatek do posagu! Nie! nie! nie! cała moja duma, cała godność wielkim głosem protestowały przeciw takiemu stanowisku; lepiej sto razy zrezygnować z miłości i z małżeństwa, zrezygnować z góry. Ale co pozostaje? Zakon? Siostry miłosierdzia? staropanieństwo takie, jak cioci Jadwisi? Moje lat dwadzieścia, silna żywotność mojej natury, to wszystko, co z niewysłowioną siłą rwało się we mnie ku słońcu, ku życiu, ku wiosnie, łkało rozpacznie na myśl o takiej abdykacyi ze wszystkich praw młodości. I jaką rolę w życiu mają brzydkie kobiety? Dlaczego są ignorowane, przemilczane kompletnie? We wszystkich książkach, które kiedy miałam w rękę, wszystkie bohaterki są piękne, wdzięczne, urocze, kochane; zdawałoby się, że innych kobiet niema na tym padole, a przynajmniej, że prawo do życia mają tylko takie. A przecie dość spojrzeć koło siebie: tych wydziedziczonych, tych pozbawionych wdzięku, jest więcej, niż połowa. Ale pisać o brzydkiej kobiecie? co za niewdzięczne zadanie i jaki brak interesu dla czytelnika!

Książki nie mi więc powiedzieć nie mogły, a życie znałam tak mało! Zraniło mnie na pierwszym kroku, bezlitośnie zdmuchnęło złudzenia, wykoleiło z obranej drogi i zostawiło tak bez żadnego przewodniego promyka, w labiryncie własnych szamotań się i bezradnych żalów.

Gdy po długiej podróży ukazały mi się w dali Trociece, jakieś uczucie ulgi i spokoju wpłynęło mi do duszy. Z pierwszej swej wycieczki w świat wracałam zraniona do gniazda. Ale tu przynajmniej

czekała mnie cisza i spokój: tu nikt mi zarzutu nie zrobi z mojego braku urody, tu mnie kochają taką, jaką jestem.

Miałam jednak i w domu przykre chwile do przebycia.

Zochna ze swoją panną Luizą zameęczały mnie wprost nieskończonemi pytaniami. W oczach naszej małej każdy szczegół opowiadany przezemnie nabierał tęczyowych barw czarodziejskiej baśni. Duże swoje szafirowe oczęta, rozszerzone i błyszczące, wznosiła na mnie i prosiła pieszczotliwie:

— Opowiedz, ciociu, jak jechaliście na bal? Jak muzyka grała? Co panowie mówili? Jak panie były ubrane? A ta Dzina, co w moim wieku, z kim się ona bawi? Jej pewno weselej, niż mnie? Czy ona umie tańczyć? A jakie były żywe obrazy?

I tak dalej w nieskończoność. Ja nigdy dziecinie naszej nie umiałam nie odmówić, odpowiadałam więc cierpliwie, ale przeżywając jednocześnie poraz drugi swój pobyt w Sławinie, wciąż myślałam:

„To wszystko nie dla mnie! Te zabawy, flirty, to błyskotliwe, uśmiechnięte, łatwe życie, nie dla mnie! Nigdy go nie zaznam!...”

I żal ścisnął mnie za gardło.

Ojciec pytał ze swej strony:

— No jakże? kawalerów tam dużo kręciło się koło ciebie? Może który oświadczył się... a? Powiedz, jeżeli co porządnego, to pomyślimy o tem. Józefowa bodaj, że kroić na ciebie dla swojego syna. Cóż? chwyt chłopak, podobał ci się?

Jedna ciocia Jadwisia nie pytała o nic. Spojrzała tylko badawczo na mnie z pod brwi schmurzonych i mruknęła pod nosem:

— A mówiłam: nie jechać! że nie dobrego nie wyjdzie!—i podreptała do gospodarstwa.

Zaczęły się znów dla mnie dni długie, monoton-

ne, ciche, różne tylko między sobą różnicą pór roku. Życie takie dobre jest dla ludzi życiem zmęczonych, dla ludzi zapracowanych, z widokiem jakiegoś celu, dla tych wreszcie, którzy swe szczęście w duszy noszą, ale dla istot młodych, w rozterce z sobą, z nasieniem goryczy w sercu, jest wprost zabójcze. Dziś jeszcze z d... zczem wspominam rok, który mi zeszedł w ten sposób. Rojenia, które dawniej złościły samotność, dziś zgasły: nie oczekiwałam niczego, nie spodziewałam się niczego, nie robiłam nic. A że żyć czemś trzeba, szczególnie, gdy wyobraźnia żywa, a dusza gorąca, więc też żyłam żalem i goryczą swoich zawodów. Wśród ciszy i braku zewnętrznych wrażeń, to, co się piastuje w duszy, wyrasta do rozmiarów olbrzymich, przybiera kształty fantastyczne. Na tej drodze i ja prędko doszłam do wniosku, że jestem najnieszczęśliwszą pod słońcem istotą. Groziła mi apatya, groziło mi zdziwaczenie, zwichnięcie zupełne. Nie wiem, gdzie i do czego bym doszła, gdyby Bóg nie zesłał mi ratunku i światła.

Pamiętam po dziś dzień ze wszystkimi szczegółami chwilę, w której po raz pierwszy posłyszałam o panu Adamie. Był to wieczór jesienny, rozplakany, dzwoniący drobnymi kropelkami deszczu o szyby. W jadalni naszej jasno było i razem zacisznie. Cio-cia Jadwisia siedziała przy samowarze i raz po raz podawała szklanke herbaty ojcu i panu Januaremu, którzy chwilami ginęli zupełnie w niebieskawym dymie papierosów. Zosia ze swoją mentorką wstały już od stołu i czytały głośno w sąsiednim pokoju. Przez uchylone drzwi, w nimbie światła, jakie padało od lampy, widziałam zlocistą czuprynę mojej synowicy i jej długie rzęsy, spuszczone nad książką. Obok panna Luiza swoją sńiadą twarz pochylała nad szydełkową robotą; usta jej poruszały się automatycznym ruchem liczenia. Naprzeciwko mnie przy stole siedział Kazio. Od wakacyi rozstał się na zawsze z gimnazjum, dojechawszy do siódmej klasy, i zaczął „po-

magać ojcu w gospodarstwie.” Bardzo był dumny ze swego cywilnego ubrania, skrojonego „na wyrost” przez Jankla, i co chwila wyskubywał słabo zaznaczony ślad wąsików. Był właśnie w tej fazie charakterystycznej u wyrostków, kiedy się bawią w ironizowanie, przybierają lekceważące tony, szczególnie mówiąc o kobietach, a jednocześnie zaperzają się i obrażają o byle co. Tego wieczoru pokłóciliśmy się już parę razy, bo mnie drażniły jego tony, a jego znów oburzało to, że nie uznaję w nim dorosłego młodzieńca. Teraz więc siedzieliśmy milczący oboje: on skubał przyszłe wąsiki, a ja końcem noża kreśliłam fantastyczne desenie na obrusie. Przygniatającym ciężarem leżała na mnie jakaś wielka nuda i smutek.

— Spodziewaj się sąsiad wizyty w tych dniach— przemówił basowym swym głosem pan January, zwołana wpuszczając kawałek cukru do szklanki. — Nowy dziedzic Powalina zaczyna się rozjeżdżać po okolicy.

— Sukcesor starego Korzeckiego?

— A tak, ten jego synowiec, Adam Korzecki... Już się urządził na nowem dziedzictwie i chce stósunki porobić. Był u mnie przed kilku dniami. Ale et! niemrawy jakiś, milczący, trudno się z nim dożadać... Wolałem starego.

— Kawaler?—krótko, po swojemu, spytała ciotka Jadwisia.

— Gdybyż choć to!—wtrącił Kazio z ironicznem spojrzeniem w moją stronę — ale żonaty od lat dziesięciu, niestety!

— To chwała Bogu, będzie przynajmniej towarzystwo jego żony—odpowiedziałam, patrząc na niego z góry.

— Ależ to fiksat jakiś! słyszałem coś o nim!—powiedział mój ojciec. — Zaczął gospodarstwo od stawiania pałaców parobkom. Prawda to?

— Nie tylko pałace im stawia, ale i mebluje—

wtrącił znów Kazio. — Każdy z parobków dostaje piękne łóżko, sprężynowy materac, atlasową kołdrę... Naturalnie, pierwszego dnia pakuje to na plecy i zmyka sobie z Panem Bogiem, a Korzecki mebluje wszystko nanowo...

— To być nie może! chyba żartujez?—rzekłam zdumiona.

— Ależ fakt, fakt, pani dobrodziko! Pytałem jego samego, nie zaprzeczał wcale.

— Prędko z torbami pójdzie — zakonkludował ojciec.— Ależ to chyba mieszczuch jakiś, gdzie on był przedtem?

— Nie, to gospodarz, nawet powiadają, że fachowy, jakąś tam szkołę rolniczą skończył. Mieszkał dotychczas w majątku swoim, gdzieś koło Lidy. Ale tamten wydzierzawił, a sam przeniósł się tu, bo mu podobno dwoje dzieci umarło w jednym tygodniu, więc już nie chcieli mieszkać dłużej w tym domu.

— Dwoje dzieci w jednym tygodniu! Biedni ludzie! — powiedziałaam ze szczerem współczuciem. — I więcej dzieci nie mają?

— Owszem, zdaje się, że jest tam coś jeszcze. O! przyjedzie, to go panna Józefa sama wypyta. A wiem, że się wybiera.

— Czy myśliwy?—spytał mój ojciec.

— Podobno wcale nie poluje.

— Dziwna rzecz! Korzecki nie myśliwy! Taka dobra krew! dawna szlachta!

— Wyobraź sobie sąsiad, że i w karty nie grał...

— Może jeszcze i nie pijel — dorzuciłam, śmiejąc się.

— A bodaj, że też nie! Do niczego, jednym słowem.

W kilka dni potem przyjechał rzeczywiście pan Adam Korzecki z pierwszą wizytą. Ojciec był niezdrow i leżał w łóżku, gościa przyjęła ciotka.

Byłam trochę zaintrygowana opowiadaniem o nowym sąsiedzie, to też z ciekawością wchodziłam do salonu, gdzie oboje siedzieli.

Pan Adam powstał na mój widok i złożył mi poważny ukłon.

Ujrzałam przed sobą człowieka lat trzydziestu kilku, średniego wzrostu i szczupłej budowy. Odrazu uderzyły mnie w jego fizygnomii dwa charakterystyczne szczegóły: tuż nad skronią, wśród gęstych, ciemnych włosów, znaczył się wyraźnie cały pas siwizny, co przy młodej twarzy stanowiło jakiś tragiczny kontrast; drugą znamionną cechą było jego spojrzenie. Powieki ociężałe, jakby senne, przykrywały mu do połowy oczy, a gdy patrzył na kogo, uchylały się z wolna i spojrzenie dużych, ciemnych, zmienionych w barwie oczu, z taką siłą spoczywało na twarzy, że się je czuło, jak dotknięcie...

Gdy usiadłam naprzeciwko niego, chwilę patrzył tak na mnie. Nie czułam zmieszania: miałam to dziwne wrażenie, że w tej chwili dusza moja jest przed nim jak otwarta księga, że on tym swoim mocnym i spokojnym wzrokiem czyta w niej z uwagą, badawczo, choć bez szczególnego zajęcia. Potem znów te dziwne oczy ukryły się pod powieką i miałam poczucie, że myśli jego odbiegły daleko odemnie i od wszystkiego, co go otaczało.

Ciocia Jadwisia, korzystając z mojej obecności, wymknęła się, aby wydać jakieś rozporządzenia.— Zostaliśmy sami.

Poczuwając się do obowiązku bawienia go, zadałam mu pierwsze banalne pytanie, jakie mi na myśl przyszło:

— Jakże się panu tutejsza okolica podoba?

— Podobać się nie może, trzeba się chyba z nią żyć, ażeby ją polubić. Zresztą okolica to tylko tło.

Mówił powoli, głosem przyciszonym, jak gdyby

zmęczonym; twarz mu się nie ożywiła przy rozmowie.

— Stosunki towarzyskie bardzo u nas szwankują. Jest tu sennie i nudno.

— Pani się nudzi?

— Nudzę się—przyznałam szczerze.

Ciężkie powieki uchyliły się i tym razem z po za nich strzelił bardzo wyraźny błysk ironii. Zawstydziałam się i zarumieniłam, nie wiedząc dobrze czemu. Zapanowało milczenie, które przerwałam pytaniem:

— A żona pańska, czy lubi towarzystwo?

Twarz jego zciemniała nagle, jak gdyby z góry spłynął na nią cień jakiś.

— Żona moja jest ciągle chorą, od... od czasu ciężkich strat, jakieśmy ponieśli — powiedział głosem cichszym jeszcze, niż zwykle. Sama nie wyjeżdża, ale towarzystwo jest dla niej bardzo pożądane. Może więc panie zechcą uwzględnić jej stan zdrowia i odwiedzić ją, nie czekając na pierwszeństwo z jej strony...

To, co mówił, przychodziło mu widocznie z trudnością.

Mnie wielki żal ścisnął za serce, patrząc na twarz jego razem mroczną i spokojną i z wylaniem zapewniłam, że o formy etykiety nam nie chodzi. Patrzyłam na niego w milczeniu, usiłując zdać sobie sprawę z tego, co jest w tym człowieku, co go czyniło tak różnym od wszystkich, których znałam. Przyszło mi na myśl opowiadanie Kazia o atlasowych kołdrach, sprężynowych materacach i t. d. Czy to być może? On tak nie wygląda na dziwaka. Prawie zanim się spostrzegłam, wątpliwości moje wybiegły mi na usta w formie pytania... Ledwo je wypowiedziałam, zawstydziałam się mocno, ale było już za późno...

Pan Adam patrzył na mnie po swojemu długą chwilę, potem w miejsce odpowiedzi spytał:

— Czy pani była kiedy w mieszkaniu parobków u siebie we dworze?

— Nie—wyszeptałam.

— Pani nie wie zatem, jak to wygląda. Opiszę pani, a prawdę opisu proszę sprawdzić samej. Izba niska z malutkimi okienkami, które się nie otwierają i nie przepuszczają światła, bo są mętne od brudu, podłogi niema, jest tylko błoto na ziemi i jamy, do których się wylewają pomyje. Łóżek też niema, jest wielki pomost z desek, nie mytych od chwili położenia, i szeroki piec gliniany. Na jednym i na drugim śpią rzędem parobcy, okręceni kożuchami; w izbie takiej bywa ich czasem do dziesięciu. Pani nie mogłaby sekundy wytrzymać w zaduchu, jaki tam panuje. Tam, gdzie parobek żonaty, sprawa się tak przedstawia: w takiej samej izbie, jak poprzednia, bez podłogi i prawie bez okien, kilkoro dzieci, kilkoro prosiąt i kilka kur hoduje się razem. W kącie pod łóżkiem, albo koło progu jama, do której się wylewa wszelkie nieczystości. Jak się pani wydaje, czego można oczekiwać od ludzi, którzy w podobny sposób życie swe spędzają?

Umilkł i patrzył na mnie oczyma, w głębi których coś się paliło. Ze mną działy się rzeczy dziwne: jakiś żal ogromny i wstyd zarazem ścisnął mnie za gardło; czułam łzy pod powieką, w sercu, w głosie. I ja nigdy dotąd, nigdy dotąd...

— Ja rozumiem tak—ciągnął pan Adam, którego głos stracił owe tony zgaszone i stał się mocnym i dźwięcznym. — Skoro wymagam od takiego parobka, aby był człowiekiem, to jest, aby był uczciwy, pracowity i sumienny, to muszę mu dać pewne niezbędne warunki człowieczeństwa. Gdy będzie u siebie w mieszkaniu oddychał dobrem powietrzem, gdy wokoło będzie widział czystość i ład, gdy sam będzie miał na sobie czystą odzież i będzie wypoczywał w porządnym łóżku, wówczas mogę wymagać od

niego, aby był innym od zwierząt, około których chodzi—inaczej zaś nie mam prawa!

Dalekiem echem we wspomnieniu mojem budziły się rozmowy z panną Stefanją! Ale co za różnica! W tamtych frazesach było wiele deklamacyi i wiele pustki, a tu taka prawda, taka złota, rdzenna, rzeczywista prawda! Zdawało mi się, że na obszerne, szerokie horyzonty życia, które dotychczas leżały w cieniu, dobroczynna ręka rzuca mi snop promieni. Widzę je, rozeznaję, rozumiem...

— Pan jednak musi spotykać ciągły opór w swych usiłowaniach — powiedziała, patrząc z szacunkiem i podziwem na niego.

— Największy opór stawiają mi oni sami — odpowiedział i uśmiechnął się po raz pierwszy, uśmiechem nie wesołym, ale łagodnym. — Tak nie przywykli do porządku, do czystości, do najpierwszych wymagań higieny! Mają mnie za dziwaka, za tyrana, kiedy sam codziennie otwieram okna w czworakach. Rozkradają, niszczą pościel i sprzęty, których im dostarczam, ale ja się nie zrażam. Przyzwyczailem i nagiąłem do swych wymagań służbę w Jaworynkach, gdzie mieszkałem pierwej, dojdę do tego i w Powalinie.

Mówił spokojnie i znów cicho, ale w głosie jego była wielka moc i pewność.

— W Jaworynkach tak moi robotnicy przywykli do pewnego niezbędnego komfortu życiowego, że stosowali go później we własnych chatach. Trudno uwierzyć nawet, jak takie drobne w gruncie rzeczy wpływały dodatnio nie tylko na zdrowotność, ale i na ogólny moralny poziom. Dziś wieś Jaworyńska odznacza się w okolicy: nietylko chaty są czyste i ozdobne, ale przed każdą jest ogródek owocowy, a nawet kwiatowy. Dobry przykład szerzy się równie łatwo, jak i zły; to jest pewnik, chociaż temu zaprzeczają.

Ciocia Jadwisia wróciła już od chwili i słuchała

z niekłamanem zdziwieniem. Spostrzegł to widocznie, bo umilkł, jakby zmęczony tem, że tak dużo mówił; twarz mu zgasła i aż do wyjazdu odzywał się już tylko monosylabami.

Po jego odjeździe miałam głowę tak pełną myśli, że całą noc nie spałam. Dręczył mnie wstyd za cały dotychczasowy tryb mego życia i za wszystko, co stanowiło jego treść do tej pory.

VI.

Męczyłam ciocię o wybranie się z wizytą do Powalina. Byłam ogromnie ciekawa poznać życie domowe i rodzinę pana Adama. Ciocia fukała na mnie z początku, bo wizyt wogóle, a nowych znajomości w szczególności nie lubiła, ale nie mogła mi nic odmówić; wiedziałam o tem dobrze i czekałam cierpliwie, aż się skruszy. Pewnego październikowego dnia, gdy zaświeciło blade, złote słońce, a niebo uśmiechnęło się barwą jasnego seledynu, ciocia burknęła:

— Idź ubierać się, kazałam konie zaprzęgać. Odbądźmy już raz ten twój Powalin i niech mam spokój!

Podskoczyłam z radości, uścisnęłam ciocię, która coś mruczała o waryactwach, i pobiegłam ubierać się. Ojciec nie wychodził jeszcze po ostatniej chorobie, pojechaliśmy więc tylko z ciocią. W powietrzu była rozlana wielka słodycz i cisza pogodnego jesienno-go dnia. Oddychało się dziwnie swobodnie i głęboko wśród przestronnych nagich pól, u krańców przysłoniętych jakby szafirową gazą. Przez przejrzyste i nieme przestrzenie, gdzieś od bardzo odległej wioski, płynął powolny głos cmentarnego dzwonu. Wjechaliśmy w liściasty gaj. Owionął nas zapach wilgoci i miła woń wędniejących liści. Zaścielały ziemię

rdzawym, ruchomym kobiercem, popstrzonym gdzie-niegdzie ciemno-stalową plamą liści osiki. Nagie drzewa rysowały poplątaną, misterną koronkę gałęzi na blado-niebieskiem tle nieba; jedne dęby stały otulone w ruda, sztywną, zeschlą szatę. Żaden ptak się nie odezwał, czasem tylko wzdłuż pnia mignęła wie-wiórka, jak złoty płomyk.

W jakąś godzinę dojechałyśmy do Powalina. Zna-łam ten piękny obszerny dwór z murowanym domem i dużym ogrodem nad rzeką jeszcze za czasów sta-rego pana Jana. Wiało odeń wówczas pustką i opu-szczeniem. Dziś uderzył mnie na wstępie inny wy-gład. Walące się płoty i bramy były zastąpione in-nemi, świeciły się dachy nowych budowli, z których niektóre były jeszcze niewykończone.

— Widzi ciocia, jaki dobry gospodarz z tego pana Adama!—powiedziałam z zadowoleniem.

— Niech mi pokaże, jak zasiane na polu, co stoi w oborze i ile ma w biurku, to wtedy powiem, jaki z niego gospodarz — sceptycznie odpowiedziała ciocia.

W przedpokoju spotkał nas pan Adam. Widok jego spokojnej, w sobie skupionej twarzy napełnił mnie radością i jakąś otuchą. Cieszyłam się, że go widzę zupełnie takim, jakim pozostał w mej pa-mięci.

Wprowadził nas do salonu, potem znikł za ja-kiemis drzwiami, zkąd dolatywał jego głos przyciszony, a głęboki i drugi kobiecy, powolny i pełen skar-gi. Gdy wrócił po chwili, prowadził za rękę ośmio-letnią może dziewczynkę, którą nam przedstawił jako swoją córeczkę. Gdy usiadł, mała przytuliła się do jego ramienia i stała spokojnie, spoglądając na nas nad wiek rozumnymi i pełnymi jakiegoś smutku oczami. Córeczka pana Adama robiła niezwykle i niewesołe wrażenie. Wąłta i bledziutka, okryta płaszczem lnianych włosów, miała jakąś nie dziecinną zadumę

na drobnej twarzyczce. Gdy ją zagadnęłam o coś, odpowiedziała mi z powagą i cichutko, jak dzieci przywykłe do obcowania z choremi, starszymi osobami...

Pan Adam wydawał się nieswój i co chwila spoglądał na drzwi. Otworzyły się wreszcie po jakimś kwadransie i do pokoju krokiem powolnym, płynącym i pełnym wdzięku weszła młoda kobieta.

Jeżeli mała Mila Korzecka uderzała przedwczesną powagą i dojrzałością, to matka jej za to robiła wrażenie dziecka, zwiędniętego i postarzałego nagle.

Dziecinną była jej okrągła twarzyczka, jej jasne włosy, wijące się w puklach na czole, nawet dziecinnymi były jej wielkie niebieskie oczy i miękkie ruchy, ale całość robiła wrażenie pączka, zwarzonego przez mróz. Pani Adamowa miała cerę żółtą, skronie wpadnięte i bolesny wyraz ust osób chorych, czy rozkapryszonych. Ruchem omdlewającym opuściła się na fotel po przywitaniu z nami i tym głosem pełnym skargi, który już mnie przedtem uderzył, zaczęła wyrażać nam swoją wdzięczność za przyjazd.

— To mi daje odrazu miarę dobrych serc pań, że poświęciły błahę względy etykiety i nie wahały się pierwsze odwiedzić chorej i złamanej kobiety. O! bo ja jestem prawdziwie i jedno i drugie. To rzeczywiście dobry uczynek ze strony pań. Adamie, czy każeś podać herbatę?

Korzecki, który od czasu wejścia żony zamilkł zupełnie, wyszedł teraz bez słowa do sąsiedniego pokoju, a za nim podażyła jego córeczka, ujawszy go pieśczołliwie za rękę.

Słyszałam, jak wydawał rozporządzenia swoim spokojnym, matowym głosem, potem coś przemawiał do dziecka z wielką czułością.

Pani Adamowa tymczasem mówiła ciągle, a mnie powolny i monotony sposób jej mowy zaczynał drażnić niewypowiedzianie. Nie zmieniając tonu, prze-

skakiwała z przedmiotu na przedmiot, mówiła o smutku jesieni, zrujnowanem zdrowiu, o kłopotach, jakie mieli z nową instalacją, o nauczycielce Mili, o nowych książkach. Rzuciła pytania i mówiła dalej, nie czekając odpowiedzi, z jakimś nerwowem wzrastającym ożywieniem.

— Czy pani grywa?—spytała mnie naraz.

Odpowiedziałam twierdząco. Grałam biegle, chociaż w tym czasie zamiłowanie do muzyki nie obudziło się jeszcze było we mnie tak wybitnie, jak później.

— O, niech mi pani co zagra! — powiedziała, składając ręce.—Tak kocham muzykę, a tak rzadko ją słyszę!

W tej chwili znalazł się przy niej pan Adam, który coś jej szepnął prosząco do ucha. Wstrząsnęła głową i odpowiedziała przecząco:

— To moja jedna przyjemność, czy chcesz mnie jej pozbawić?

— Pamiętasz, jak było ostatni raz, gdy grała Stefania? Odchorowałaś to formalnie.

— Dziś jestem spokojniejsza. Niech pani gra, niech pani gra!

Stałam zakłopotana przy fortepianie, nie wiedząc kogo słuchać. Usiadłam wreszcie i wyszukałam w swej pamięci najjaśniejszą w nastroju, najweselszą kompozycję, jaką znałam. Oboje Korzeczcy słuchali uważnie, a gdy skończyła, pan Adam powiedział:

— Pani ma duże zdolności.

— Niech pani zagra teraz coś smętnego, albo coś dramatycznego, coby wzruszało do łez — prosiła pani Celina.

Mąż jej spojrzął na mnie z niepokojem. Zrozumiałam jego obawę i odpowiedziałam z uśmiechem:

— Doprawdy, nie podobnego mi w tej chwili nie przychodzi na myśl,—za co otrzymałam pełne wdzięczności spojrzenie.

Po herbacie, przy której pani Celina robiła wrażenie takiegoż samego gościa, jak i my, zostawiając cały trud zapraszania i podawania mężowi, powiedzia-łam do pana Adama:

— Może to zabawne żądanie z mojej strony, ale taka jestem ciekawa...

Zatrzymałam się onieśmielona.

— Chcę się pani przekonać, ile jest prawdy, co do atlasowych kołder dla parobków — podchwycił pan Adam, uśmiechając się łagodnie.—Owszem, z przyjemnością będę pani służył informacjami i demon-stracją.

— Ach, tyle bajek opowiadają o reformach mo-jego męża!—powiedziała pani Celina niezadowolonym tonem.—Z tej racji zyskał sobie opinię dziwaka.

Pan Adam pomógł mi się ubrać i wyszliśmy na dziedziniec. Zaprowadził mnie do dużych, nowych budynków, świecących jasnemi szybami okien. Były to czworaki. W jednym mieszkali nieżonaci, a w dru-gim parobcy z rodzinami. W rogu każdego domu zau-ważałam kwadratową skrzynię, wkopaną w ziemię, a służącą za śmietniki, oraz rowek, daleko odprowa-dzający wszelkie zlewy.

Mieszkania parobków przypominały celki. W iz-debkach, z czysto zamiecioną podłogą, stały drewnia-ne, a niektóre żelazne łóżka i stołek z dużą miską i dzbankiem. Pościel była gruba i prosta, ale czysta. W izbach nie spało więcej nad trzy lub dwie osoby dorosłe.

— Sam osobiście odbywam rewizję porządku i czystości — powiedział pan Adam.—Za każde zanie-dbanie płaci się kara. Gdy się wdrożą i to będzie zbyteczne. Widzi pani, że niektórzy zaczynają sami ozdabiać swoje izdebki. To dowód, że się w nich bu-dzą potrzeby estetyczne.

Od czworaków pan Adam poprowadził mnie do łaźni, która się budowała dopiero.

— Wszystkie moje usiłowania na nicby były,

gdybym nie dostarczał im sposobności do czystego utrzymywania samych siebie. W oficynie mam jeszcze urządzoną podręczną apteczkę. Raz na miesiąc przyjeżdża doktor i udziela bezpłatnie porady i lekarstw, nietylko chorym we dworze, ale i w całej wsi.

— I do nas przychodzą chorzy!—zawołałam. — Ciocia obdarza ich najczęściej kwiatem lipowym, rumiankiem, ślazem i tym podobnymi ziołami.

Pan Adam uśmiechnął się.

— To niezupełnie wystarczające, należałoby co najmniej włączyć do spisu chininę, rycynę i środki dezynfekcyjne i opatrunkowe.

— Ale ja koniecznie chcę urządzić taką samą apteczkę — zawołałam z zapałem, gdyśmy się znaleźli w oficynie.—Tylko że ja pojęcia nie mam o leczeniu—dodałam smutnie.

— Mogę pani użyczyć kilku podręczników lekarskich, zastosowanych do takiego właśnie leczenia na wsi. Wprawa przyjdzie z czasem, najważniejszą rzeczą jest dobra wola.

— Tej mi nie zbraknie—rzekłam gorąco.

— Jabyłm zawsze na pierwszorzędnem miejscu w wychowaniu kobiety postawił pewne wiadomości z higieny i z fizjologii. Gdyby moja żona to posiadała, to Miła nie byłaby tak wątłą i anemiczną dziś, a może nawet...

Głos mu się złamał i szybko odwrócił twarz, która pociemniała w jednej chwili. Zrozumiałam i żał ogromny nad nim zalał mi serce.

Wracaliśmy do domu w milczeniu. Gdy już byliśmy na ganku, stanęłam i powiedziałam bez żadnych wstępów:

— Dlaczego pan w Trociczach tak ironicznie spojrział na mnie, kiedy powiedziałam, że się nudzę?

Uśmiechnął się.

— To tak dalece utkwilo pani w pamięci?

— Tak, to mnie ciągle nurtowało. Więc dlaczego?

— Bo nie rozumiem zupełnie, jak człowiek myślący może się nudzić—odpowiedział poważnie.—Tyle wokoło jest do roboty, tyle przedmiotów do zastanowienia się, tyle rzeczy uderza wyobraźnię i uwagę, a pani się nudzi!

Stałam przed nim, oparta o balustradę ganku, z głową spuszczoną, jak winowajczyni.

— Ja też w ten sposób rozumiałam wzrok pański—powiedziałam po chwili—i nie wiem, doprawdy nie wiem, co to jest, ale zaledwie zamieniłam kilka zdań z panem, taki mnie ogarnął wstyd głęboki siebie samej, mego dotychczasowego życia, moich dążeń i myśli i tego ciasnego koła pragnień, w jakich się dotychczas obracałam, że...

Przerwałam i jeszcze bardziej głowę spuściłam, bo mi łzy do oczu nabiegały. On patrzył na mnie uważnie tym dobrym wzrokiem, jakim spoglądał na Milę.

— Niech się pani nie smuci—powiedział, biorąc mnie za rękę — pani jest tak młoda, że wszystko jeszcze przed panią. Gdy tylko są chęci ku temu, tryb życia łatwo zmienić w tem, czem on sam panią razi. Czy pani nie ma żadnego zajęcia obowiązkowego w domu?

— Żadnego.

— Czy gospodarstwem wcale się pani nie zajmuje?

— Wcale.

— Ani wychowaniem tej małej, którą widziałem u państwa?

— Też nie—wyjąkałam z dławiącym wstydem.

— Jakże pani mogła się nie nudzić, zwłaszcza przy tym spokojnym trybie życia na wsi. To nawet można było wprost zdziwaczeć, rozchorować się. No, niech się pani nie martwi i postanowi żyć inaczej.

— Pan mi dopomoże—powiedziałam, patrząc na niego z ufnością i z jakąś dziwną otuchą.

— Bardzo chętnie, o ile potrafię.

— Ja myślałam już trochę nad tem, mam niektóre plany. A więc najpierw założę apteczkę i z podręczników pana będę się uczyła leczenia.

— Może pani będzie miała ochotę przyjechać kiedy w czasie przyjęcia doktora tu, będzie to lekcyja pogładowa.

— O, bardzo chętnie. Dalej zajmę się dziećmi we dworze. Kiedyś próbowałam uczyć niektóre z nich, ale zniechęciłam się prędko, bo takie tępe! Teraz znów się wezmę do tego i z postanowieniem wytrwania. Potem jeszcze, tę myśl to mnie pan przed chwilą nasunął, będę uczyła Zocheę. Mają sprowadzić do niej nauczycielkę z Warszawy, ale może potrafię zastąpić ją do czasu. O, jak mi będzie dobrze! Jaką ja sama poczuje się silną, użyteczną, zajętą naprawdę!

Promieniałam radością i zapałem. Zdawało mi się, że ktoś przedemną otworzył szerokie wrota, przez które płynęły powiewy zdrowe, świeże, zapachem zbóż i żywicy przesycone.

Zapomniałam najzupełniej, że przed tygodniem pan Adam był mi zupełnie nieznanym człowiekiem, takie miałam do niego zaufanie i taką wiarą mnie napełnił. Jak to się stało? Nie wiedziałam i nie zastanawiałam się nad tem. Jednego słowa mi nie wypowiedział, coby zakrawało na morał, czy uwagę, a uczynił kompletny przewrót w moim świecie moralnym. A może te wszystkie myśli i dążenia istniały we mnie nieświadome, jak rozproszone pierwiastki w roztworze chemicznym, kiedy wystarcza promień światła albo wstrząśnienie, aby je w całość skryształizować?

Pan Adam uśmiechał się wciąż, spoglądając na moje ożywienie.

— No, no—powiedział powoli—nie spodziewałem się znaleźć tu taką gorliwą prozelitkę!

Na twarzy miał jakieś rozjaśnienie, które ją ogromnie odmładzało.

Gdy weszliśmy do salonu uderzył nas szczególnie widok. Pani Celina leżała na kanapie i łkała, drąc jednocześnie nerwowemi ruchami chusteczkę, którą miała w ręku; ciocia stała przed nią bezradna, przeżona.

Pan Adam spojrzał na żonę z jakąś rozpaczą, powieki mu się przymknęły na chwilę i twarz zaszła cieniem, wziął szlochającą coraz bardziej na ręce i zaniósł do jej pokoju. Mieszkanie napełniło się zapachem trzeźwiących soli; słychać było bieganie, odsuwanie jakichś szuflad.

Głośne łkanie nie ustawało, przechodziło w spazmy. Obie z ciocią stałyśmy na środku salonu, przestraszone, nie wiedząc, co robić z sobą. Ciocia coś burczała pod nosem; oprzytomniawszy, kazała śpiesznie zakładać konie.

W jakiś kwadrans wyszedł pan Adam z pokoju żony, mroczny i zmęczony. Powiedział nam, że żona już się uspokoiła. Pożegnałyśmy go i wyjechałyśmy.

Wieczór był chłodny, martwy, jesienny; księżyc zimne blaski słał na nagie pola, wilgoć przejmująca biła od ziemi.

— No, no, gdybym wiedziała, że to tak będzie — mówiła markotnie ciocia Jadwiga — nie rozmawiałabym z nią o tem... Ale jakże zgadnąć mogłam, że ona taka! Chora i chora powiada! Niechby powiedziała, że na spazmy!

— Ciocia mówiła z nią o dzieciach?

— Sama zaczęła mnie opowiadać. Z początku niespokojnie, aż potem jak zacznie... Aż mnie strach schwycił! Ale wiesz, z tego, co opowiadała, dużo jej winy. Głupia matka, czy niedbała. Niańka miała w chacie strażnika pod dworem chorą wnuczkę na krup i chodząc z dziećmi na spacer, zabiegała do niej.

Zachorowało jedno z dzieci, potem drugie, bo ich nie rozdzielili, po doktora zapóźno posłali, a męża w domu nie było. Kiedy przyjechał, synka zastał w trumience, a dziewczynkę najmłodszą konającą. Podobno biedak na tę wiadomość upadł na ziemię bez czucia. Nie dziw i nie dziw, że osiwiął.

Ciocia otarła nos z hałasem; mnie łzy, jak groch, spadały po twarzy. I to taki właśnie człowiek, jak on!...

— On sam, to mi się podoba — ciągnęła dalej ciocia;—do rzeczy i przyzwoity człowiek. Ale że ożenił się, to dosyć nieszczególnie...

Milczałam, ale znajdowałam w duszy, że ciotka ma słuszość.

VII.

— Ciociu, pojedziemy na Sławiszczce? czy dobrze?

— Dlaczego, Zochno, to dalej i droga gorsza.

— Ciociu, ja mam taką ochotę...

— No, dobrze, dobrze. Jedź, jak sobie chcesz.

Rozmowa ta toczyła się w złociste popołudnie sierpniowe na drodze, prowadzącej do Powałina.

Siedziałam w tilbury obok Zosi, która powoziła z brawurą i z wielkiem lekceważeniem wszelkich wybojów, kamieni, mostków i t. p. Patrzyłam na nią z miłością, a zarazem z przyjemnością. Śliczną była w zawadyackim białym bereciku na główce, w białej kurtce, ze złotymi guziczkami i z jasnym warkoczem, spływającym z pad beretu. Byłam kompletnie zawojowana przez nią, zdawało mi się to zawsze, ilekroć spotykałam na swej drodze wybujały, o egoistycznym kierunku charakter.

Zosia musiała czuć mój wzrok i mimowolny w nim podziw, bo uśmiechnęła się sprytnym uśmiechem i spytała, nie odrywając wzroku od koni:

— Ciociu, proszę mi powiedzieć, jakiego ja koloru mam oczy?

— Na co ci ta wiadomość?

— Tak... ja się z kimś o to sprzeczałam. Jakie, ciociu?

— Twoje oczy są coraz inne. W tej chwili, gdy je słońce oświetla, są zupełnie zielone i mają złote iskierki. Kiedy się zamyślasz, to stają się szafirowe, a kiedy panienka się gniewa, bo, niestety, i to bywa, to ma oczy stalowe.

— Ach, ciociu! — zawołała, wybuchając śmiechem — to coś, jak u kota, trójkolorowe! Mam kocie oczy!

— A kocie, bo przecież z ciebie cała koteczka i do tego rozpieszczona!

Mijałyśmy Sławiszczce. Zosia odwróciła głowę i z wielką uwagą spojrzała w aleję, wiodącą do dworu. Poszłam za kierunkiem jej wzroku, lecz dostrzedz nie mogłam. Na buzi mej synowicy wystąpiły dwa śliczne dołeczki, które ukazują się wtedy, gdy się uśmiecha właściwym sobie, powściąganym uśmiechem, i znikły. Wjechałyśmy w las, Zosia zwolniła bieg koni i rzekła:

— Boże, co za kurz! Mój beret i kurtka cała popielata!

Rzuciła lejce chłopcu stajennemu, który siedział na koziołku, strzepnęła żakiet, zjęła beret i wpięła go nanowo z większą fantazją, wreszcie, urwawszy w przelocie gronko pąsowej jarzębiny, włożyła je sobie do dziurki od guzika. Patrząc na nią, myślałam sobie z pewnem zdziwieniem:

— Dlaczego mnie takie rzeczy nigdy na myśl nie przychodzą?... Przecież i ja jestem młodą dziewczyną... Ale brzydką... Mnie już żaden strój nie pomoże...

Ścisnęło mi się serce, ale na pociechę przypomniałam sobie zaraz o tem, co dziś mam opowiedzieć panu Adamowi i uspokoiłam się.

Jechałyśmy powoli leśną dróżką, pełną cieniu i ruchomych złotych plam słońca. Z boku drogi pnie wyniosłych sosen stały w świetle, jak bursztynowe słupy. Leszczyna przesiewała przez swoje miękkie liście złoto-zielone blaski, zarazem tajemnicze i dzi-

wnie wesołe. Las milczał, był już w nim smutek jesiennych odlotów. Za nami rozległ się tętent konia; ktoś nas szybko doganiał. Obejrzałam się.

— To panicz ze Stawiszcz—oznajmił Chwiedor.

Zosia nie spojrzała nawet, tylko przyspieszyła bieg koni. Po chwili Kazio zrównał się z nami i kłaniał się z konia, zdyszany i mocno rozpromieniony.

— Pan mi konie przestraszył—rzuciła Zosia, nie patrząc na niego.

Od czasu, gdy wrócił z Poznańskiego, mówili sobie pan i pani. Ja po dawnemu nazywałam go Kaziem.

— Jeżeli konie poniosą, to je zatrzymam — odpowiedział Kazio z dumą i pewnością młodzieńczą. — Gdy ja tu jestem, to się paniom nie złęgo stać nie może.

Roześmiałam się z jego tonu, Zosia spojrzała na niego bokiem.

— Nieustraszony bohater!—szepnęła z uśmiechem ironicznym.

Kazio pokraśniał, jak mak.

— Niech pani wypuści konie! niech pani tylko spróbuje!—zawołał gorąco.

— Nie, nie! — rzekłam przestraszona. — Co za dziecinada! Czy do Powalina jedziesz, Kaziu?

— Nie, nie wiem...—odprowadzę panie.

Zosia spojrzała na niego z pod rzęs.

— Ale pan wstąpi do Powalina — rzekła stanowczo.

— Wstąpię—odpowiedział posłusznie.

Roześmiałam się.

— Ależ, Kaziu, jaki ty grzeczny jesteś teraz. Gdzie te czasy, kiedy kłóciłam się z tobą co trzy słowa?

Kazio znów się zaczerwinił (jakże to mu się teraz często zdarzało!), a na buzi Zosi ukazały się dołeczki. Po chwili tych dwoje zaczęło rozprawiać z sobą z zajęciem, że nie wiele mogłam zrozumieć, o co

im chodzi. Zaczęłam w myśli porządkować różne wątpliwości, które chciałam przedstawić panu Adamowi, a tymczasem dojechalismy do Powalina. Zdaleka już ujrzelismy pana Adama i Milę, dążących z ogrodu; za nimi niesiono kosze rumianych, letnich jabłek, które wonią napelniały cały dziedzińiec. Miła powitała nas radosnym okrzykiem, pan Adam uśmiechem. Zosia, zeskakując z tilbury, wołała:

— Zbierają owoce! O, jak to dobrze! Będziemy pomagać. Weźmiemy długie żerdzie i będziemy strząsać jabłka. Panie Kazimierzu, chodźmy!

Pobiegli z Milą, a ja spytałam pana Adama o żonę.

— Ma dziś migrenę i odpoczywa w swoim pokoju—odrzekł.

Zdarzało się to nadzwyczaj często. Pana Adama zastawało się zazwyczaj w towarzystwie córki, ale rzadko żony. Chodząc z nim teraz po ścieżkach ogrodu, opowiadałam mu o swoich kłopotach. Pomiędzy dziećmiakami, które uczyłam, był chłopiec niezwykle zdolny i chętny do nauki; mojem marzeniem było umieścić go w gimnazyum i otrzymać dla niego stypendyum. Jak to zrobić? i czy to się uda?

Pan Adam nie miał w zwyczaju przyrzekać coś stanowczo, ale kiedy powiedział powolnym swym głosem: „Postaram się to zrobić,” można było na pewno liczyć, że sprawa załatwiona. Tak też było i tym razem, a ja miałam ochotę podskoczyć z radości, widząc los swego protegowanego zapewniony. Z kolei przeszłam do innej kwestyi; byłam wprost zrozpaczona swym brakiem wiadomości z zakresu higieny i medycyny; tylu chorych zgłaszało się po pomoc, a ja najczęściej byłam bezradna. Podręczniki niewielką mi były pomocą.

— Czy pani myślała o tym projekcie nauki przy bezpłatnych ambulatoryach w Warszawie, który podałam pani? Kilka miesięcy praktyki przy doktorach nadałoby wprawę przynajmniej co do opatrunków,

a pomoc pani przyjętoby tam z wdzięcznością. Znam niektóre opiekunki tych dobroczynnych zakładów i mógłbym pani tam wstęp ułatwić.

— O, jakże ja tego gorąco pragnę! Byleby się tylko tatko i ciocia nie sprzeciwiali! To moja cała obawa! Mogłabym mieszkać u dawnej swojej nauczycielki, panny Wileckiej, i chodzić do ambulatoryów, a także uczyć się różnych rzeczy, które są mi potrzebne.

— Niech więc pani postanowi nadchodzącą zimę spędzić w Warszawie i pracuje nad przeprowadzeniem tego. Jaby dla wielu względów uważał za konieczne dla pani wyjrzeć trochę na świat szerszy.

— Proszę pana, pracowaliśmy, jak prawdziwi robotnicy, co za to dostaniemy? — wołała Zosia, nadbiegając cała zarumieniona, z potarganemi włosami i z oczami błyszczącemi.

— A jakiej zapłaty żąda panna Zosia?

— Najprzód proszę pana Kazimierza za uszy wytargać, bo na to zasłużył.

Biedny Kazio, który z szacunkiem piastował beret Zosi, cofnął się o krok i spłosował.

— Tego nie obiecuję zrobić. Pan Kazimierz mógłby mnie na pojedynek wyzwąć za to i cóżby wtedy było, panno Zosiu?

— Ba, od kiedyż to młokosi na pojedynek wyzywają? — szepnęła Zosia z wyborną pogardliwą minką, z boku patrząc na Kazia, który z nogi na nogę przestępywał i mienił się na twarzy.

Pan Adam wybuchnął śmiechem, co mu się rzadko zdarzało.

— Za co pani tak prześladowuje tego biednego chłopca, panno Zosiu?

— Bo tak trzeba — odparła stanowczo. — Proszę pana, czy mogę kazać Blacka przepędzić na lince? Taka jestem ciekawa, jak on teraz chodzi!

— Proszę i owszem. Marcin nauczył go nawet

różnych sztuk, żeby się pochwalić przed „młodszą panią z Trocisz”.

— Poczciwy Marcin!

Zosia pobiegła, a jej długi warkocz rozplatał się w biegu, znacząc się jasną ruchomą linią na różowej sukience. Za nią podążył Kazio z miną skonfundowaną. Pan Adam przez chwilę patrzył na nich z zajęciem.

— Do kogo Zosia podobna w rodzinie? — spytał. — Ona taka różna od panii!

Poczułam w sercu przykre ukłócie.

— Zosia bardzo ładna, prawda? — spytałam nieco drżącym głosem.

— Bardzo, i będzie kiedyś tem, co nazywają niebezpieczną panną. Ma dużo uroku i dużo sprytu.

Ja tymczasem wstydziałam się w duchu za chwilę mimowolnego żalu. Zochna, moje kochanie!...

— Niech będzie najpiękniejszą, niech wszystkie serca podbije — powiedziałam gorąco. — Niema gorszej doli na świecie, jak kobiety brzydkiej!

I nagle to wszystko, co od roku blisko wypełniało mi życie, nadawało mu treść i interes, wydało mi się szare, smutne, bezbarwne. To była praca, był obowiązek, ale gdzie było szczęście, gdzie było młode, po brzegi pełne życie? I to zawsze tak, do końca?... Innej doli dla mnie niema!...

Nie spostrzegłam się nawet, jak mi łzy jedna po drugiej zaczęły biedz po twarzy.

Pan Adam patrzył na mnie, czułam wzrok jego i czytał chyba w mej duszy, bo zapytał nagle:

— Kto pani nasunął te myśli? Sama pani do nich nie doszła?

— Nasunęło mi je pierwsze zetknięcie ze światem.

— Co pani nazywa światem? I jak to było?

Powstała w mej duszy nagła nieprzeparta potrzeba szczerości. Ani się spostrzegłam, jak mu zaczęłam opowiadać ze wszystkimi szczegółami to,

co mi dotąd przez usta nie przeszło, wszystkie swoje zawody, udręczenia, smutne myśli... Opowiadałam cały swój pobyt w Sławinie i wszystkie ciernie, ukryte dla mnie w zabawach światowych, opowiadałam o Bolku...

— Tego lata odbył się ślub Mani z panem Olgierdem, ciocia ogromnie nas zapraszała i ojciec chciał, żebym jechała, ale oparłam się stanowczo. Dość mam ich zabaw i ich wszystkich razem!...

Pan Adam słuchał uważnie, nie przerywając ani jednym słowem, aż gdy łyż znów mi mowę zatamowały, powiedział łagodnie, patrząc w zamyszeniu przed siebie:

— Pani to wszystko wyegzaltowała i dużo w tem przesady. Co pani nazywa światem? Gromadkę rozbawionej wiejskiej młodzieży, sądzącej bardzo powierzchownie ludzi i życie. To nie świat, to zaledwie maleńki jego odłam. Oprócz powierzchowności, pani posiada przecie duszę, umysł, całą istotę moralną. Czy pani sądzi, że niema mężczyzny, któryby to potrafił ukochać?

Co za dziwna władza była tego człowieka, że kilku prostemi, spokojnemi słowy otwierał przedemną całe nowe horyzonty, dźwigał z upadku ducha i zniechęcenia, prawie nie myśląc o tem. Jak błyskawica, przeleciało mi przez głowę: Prawda. on ma rację!... i świat mi się opromienił w jednej chwili cudną tęczą nadziei.

Więc ja mogę być kochaną?... i szczęśliwą?... Jak mogłam zapomnieć o tem, co jest najszlachetniejszym i najgodniejszym miłości, o duszy swojej? Jak mogłam tak poniżać siebie i innych? „Czy pani sądzi, że się nie znajdzie człowiek, który to potrafi ukochać?” Więc jest we mnie coś miłości godnego i to miłości szlachetnej, bo duchowej?... Z głęboką wdzięcznością spojrzałam na pana Adama. Bóg go zesłał na moją drogę, jako dźwignię moralną, pomoc i pociechę. Gdziebym zaszła do tej pory bez niego?...

Patrząc na niego, przyszła mi niespodziana myśl do głowy.

Czy ten spokojny, zamknięty w sobie człowiek znał kiedy miłość? Czy te poważne, surowe usta wymawiały słodkie słowa zaklęcia? Chyba nie! Ja przynajmniej wyobrazić sobie tego nie mogę!...

— Pani prosi, żeby panienka przyszła do jej pokoju!

— Zaraz idę, Stefko!

I poprosiwszy pana Adama, żeby zobaczył co się dzieje z moją pupilką, udałam się do pani Celiny.

VIII.

Na dworze całe potoki blasku i ciepła, całe fale szerokich powiewów z pól i lasów; w pokoju pani Adamowej mrok, okna starannie zasłonięte i silny zapach mentolu. Długą chwilę nie mogłam nie rozróżnić. Powoli rozpoznałam szeslong i leżącą na nim postać w jasnym szlafrocuku.

— Jak się pani miewa, kochana panno Józefo? — wymówił przeciągly i osłabiony głos pani Celiney i jednocześnie ręka jej wyciągnęła się ku mnie.

Usiadłam przy szeslongu i rzekłam odrazu:

— Proszę pani, gdyby to tak podnieść cokolwiek sztory i wpuścić tu choć odrobinę słońca i świeżego powietrza? Tak cudnie dziś na dworze, że to samo wpłynęłoby dobrze na zdrowie pani.

— Ach! niech Bóg bron! Ja tak nie lubię słońca! Razi mnie, a od świeżego powietrza w głowie mi się kręci! Adam to samo zawsze powtarza, co pani, ale on nie może zrozumieć mojego stanu. Mnie najlepiej w pół-mroku, w ciszy takiej, żeby jej odgłos żaden nie mącił! Nawet takie ciche dziecko, jak Mila, męczy mnie chwilami. Bardzo lubi u mnie przesiadywać i zawsze o to prosi, ale są dni, w których i to mi jest trudne!

Mówiła to swym skarżącym się głosem, a ja milczałam, bo nie umiałam znaleźć odpowiedzi. Nurtowała mnie myśl, która nie po raz pierwszy mnie

zajmowała: jaką była ta kobieta, gdy ją mąż poznał i pokochał? I co w niej pokochał? czy duszę?

— Niech mi pani opowie coś, panno Józefo, co wesołego! Ja czasem potrzebuję taką rzecz usłyszeć! *cela me jait du bien...*

— Doprawdy, proszę pani, nic mi podobnego na myśl nie przychodzi w tej chwili.

— Czyż być może? Ach! jakże ja byłam wesołą, gdy byłam w wieku pani! Śmiałam się, śpiewałam dzień cały, tańczyłam walca sama po salonie albo z Adasiem! Był czas po ślubie, żeśmy codziennie tańczyli przez kwadrans! Należało to do programu dnia! Boże! cośmy czasem dokazywali! Ja uciekałam po całym domu, a Adaś mnie gonił. Przewracaliśmy po drodze krzesła, stoliki, wazony... Raz stłukiliśmy prześliczną porcelanową podstawę do biletów, prezent ślubny od jednej z moich koleżanek. Wtedy zabawa skończyła się łzami... Adaś nie wiedział, jak mnie pocieszyć. Wziął mnie na ręce jak dziecko, nosił po pokoju, pieścił, obiecywał tysiąc piękniejszych rzeczy na pociechę, i rzeczywiście wkrótce potem kupił mi ten naszyjnik z pereł, pani go nie zna? Pokażę go kiedy pani!.. Ach! jak on mnie kochał, jak psuł wtedy!... Dziś to zupełnie inny człowiek!

— Czy to być może, żeby pan Adam był kiedyś wesołym?

— Ach! i jak jeszcze! Był niesłychanie dowcipny. Wszyscy się pokładali ze śmiechu, gdy on zaczynał po swojemu. A jaki był z niego ładny chłopiec! Pokażę pani fotografię.

Wspomnienia te ożywiły ją do niepoznania. Rumieniec ukazał się na jej twarzy, w pół przymknięte oczy nabrały blasku, a głos siły.

Żywym ruchem, który w niczem nie przypominał jej pół-omdlałej przed chwilą postawy, wstała z kanapki, otworzyła szufladkę biurka i wyjęła z niej szkatułkę.

— Tu pogrzebana moja młodość i szczęście! —

powiedziała z westchnieniem, otwierając wieko.—Cały romans mego życia tu się mieści!

— Proszę pani — wyrwało mi się prawie mimowolnie — pani mówi o tem, jakby to do przeszłości należało. Przecież pan Adam...

— Ach! — powiedziała z żalem — alboż to ten sam człowiek, którego pokochałam i za którego wyszłam? Dziś on mnie nie rozumie. Gdy przyjdzie kiedy porozmawiać ze mną, to tak zawsze poważnie, o rzeczach ciężkich, nudnych, które mnie nie a nie nie obchodzą. Dawniej... Ale niech pani spojrzy tylko na te listy...

Z otwartej szkatułki biła smutna i słodka woń zeschniętych kwiatów. Leżały ich tam całe pęki wraz z pakami listów, z jakimiś skrawkami balowych sukien, wstążek, i t. d.

— W tej sukni widział mnie poraz pierwszy — mówiła pani Celina, swemi delikatnemi, chudemi palcami przebierając w szkatułce. Miałam wtedy siedemnaście lat, on dwadzieścia trzy. Był studentem i bawił na wakacyach u ojca. Ja przyjechałam w ich sąsiedztwo do ciotki na imieniny. Miałam na sobie ten tarlatan różowy i cały stanik ubrany świeżemi konwaliami. Tańczył ze mną całutki wieczór. Ach! on tak ślicznie tańczył walca! W rok byliśmy już zaręczeni... Oto kwiat z pierwszego bukietu, który mi przysłał... Ale niech pani przeczyta początek tego listu. Był pisany w rok po ślubie...

Wzięłam w rękę nie bez wzruszenia długi list, szczelnie zapisany znanem mi pismem. Nagłówek był taki: „Mój promyku jasny, moja słodka dziecino!... Ciemno mi, smutno i zimno bez twego uśmiechu, bez twego szczebiotu, bez twego widoku. Siadam do pisania i mimowoli czekam szelestu sukienki, stłumionego stąpania na paluszkach i miękkiego dotknięcia małych rączek, które mi zakrywają oczy... Ale wkoło mnie cicho!...”

— Albo ten — powiedziała pani Celina, podsuwając mi drugi list:

„...Siedzę wśród tego poważnego zgromadzenia i myślę sobie, jakby to między nim wyglądała moja ptaszynka!.. Szerokoby otworzyła te moje kochane, lazuruowe ślepki, przechyliła główkę i takby się dziwiła!.. Co tam oni prawią o ekonomicznych kwestiach, o przesileniu rolnem i innych dziwnie brzmiących rzeczach! Możeby to moje kochanie ziewać zaczęło bez ceremonii!.. Ale poczekaj i tu znajdę dla ciebie zabawne rzeczy; oto siedzi w kącie jeden bardzo gruby pan..”

Nie dowiedziałam się historii o grubym panu, bo podsunęto mi pod oczy następujący urywek:

„Mój motylu różowy, moja szczebiotko śliczna!.. Głowa mi pęka od pracy, od myśli, piersi bolą od krzyku i dysput. Nie wiem, cobym dał, aby móżdż w tej chwili wziąć twoją łapkę w swoje dłonie, zamknąć oczy, słuchać twego szczebiotu i tak wypoczywać, zapominając o całym świecie!..”

Złożyłam listy w milczeniu i w milczeniu patrzyłam na żonę pana Adama. Biedny „różowy motyl”, który niczem innym być nie umiał i zapominał, że dla motyla jest jedna tylko chwilka wiosenna, bardzo krótka! Ona tymczasem szperała garączkowo w szkatułce, aż dostała z niej fotografię i podała mi ją. Ujrzałam przed sobą młodą parę w ślubnym stroju. Ona, śliczne dziecko, o dużych, zdziwionych oczach i kapryśnych usteczkach, tuliła się do jego ramienia, jakby trochę zalękniona; on patrzył na nią oczami, które się uśmiechały i które pieściły, a w całej postawie miał tę wyzywającą pewność ludzi bardzo młodych i bardzo szczęśliwych.

— Prawda, jak on się zmienił? — westchnęła pani Celina,

O! zmienił się ogromnie, ależ i ona! On był dziś zupełnie innym, mężczyzną, nie młodzieńcem, ona zaś tylko zwiędłym kwiatem. Dziwna rzecz, jak

jednakie koleje losu różny wpływ na ludzi wywierają!

Patrzyłam na fotografię i całe życie tej młodej pary stawało mi przed oczami. Rozumiałam je, odczuwałam intuicyjnie i było mi smutno!

Pani Celina tymczasem siedziała ze szkatułką na kolanach, wpatrzona w dal i wsłuchana we własne wspomnienia.

— Całe życie byłam pieszczona, najpierw w domu, potem przez Adasia, ale przez niego do czasu. Jeszcze gdy Miła na świat przysłała, mówił, że ma dwoje dzieci, dwie jedynaczki, ją i mnie. Bywało czasem, że gdy Miła się rozkrzyczy i nie można z nią dać rady, to ja też uderzam w płacz na jego ramieniu, a on nie wie kogo ma pocieszać. Gdy miałam jakie przykrości ze służbą, z gospodarstwem, z bonami, to zawsze szłam do niego na skargę, płakałam, a on pocieszał mnie, szedł wszystko załatwiać, wygderać kogo trzeba było...

— A on, gdy miał jakie zmartwienie, czy kłopot, czy też go pani opowiadał?

— Nie... po co? Jabym mu nie nie poradziła, a tyłkoby się zmartwiła niepotrzebnie. I wie pani, to dziwna jest rzecz, ale mnie dzieci odebrały serce męża. Taki był niemi zajęty, tak już myślał o ich wychowaniu!... Przynosił mi do czytania różne hygieny i pedagogie, chciał, żebym się tego uczyła... Ja mu zawsze mówiłam: Ty się tem zajmuj! Ja będę dzieci pieścić, a ty wychowuj i będzie dobrze!... I on rzeczywiście zajmował się dziećmi... Ach, przekonana jestem, że gdyby nie był z domu wyjechał, wtedy to...

Przerwałam co najprędzej pani Celinie. Z doświadczenia wiedziałam, jak się kończyła rozmowa, gdy potraçała o ten bolesny temat. Zaczęłam mówić o różnych obojętnych rzeczach, o moim projektowanym wyjeździe do Warszawy, o Mili, o Zosi. Oży-

wienie pani Adamowej zgasto, położyła się znów na kanapie i przymknęła oczy z wyrazem zmęczenia. Podniosłam się do wyjścia.

— Proszę mi Zosię przyprowadzić — wymówiła słabym głosem — chciałabym ją zobaczyć, słyszałam, że się robi bardzo ładna.

Wyszłam po Zosię. Na dworze słońce już zachodziło; staw za bramą leżał jak nieruchoma tafła złota i czerwieni. Za stawem szły zwolna wielkie stada bydła, podnosząc różowe tumany kurzu, które się wysoko wzbijały. Od pola gromada dziewcząt, z sierpami na ramieniu, tworzyła jaskrawą, pasową plamę na blado żółtem tle ścierniska. Śpiewały bardzo przeciągłą, smutną pieśń białoruską, a ostatnia nuta każdej zwrotki długo trzymana, rozchodziła się daleko po pustych polach, w czystym i cichem powietrzu. Tuż nad domem krążyły ciężkim i majestatycznym lotem cztery bociany, cała rodzina z gniazda na olsze. Jeden z nich zaklekotał, za nim wszystkie i nieruchomo wisząc w powietrzu, zaczęły spadać na dach stodoły. Długim przeraźliwym tonem zaskrzyphiał żóraw u studni i zaczął iść w górę, tworząc czarną pochyłą kreskę na jasnym seledynie nieba. Ja szłam w stronę, z kąd mnie dochodził ożywiony głos Zosi; w duszy miałam jakiś żal nienazwany i nieosobisty, świadomie zaś myślałam: Gdy mężczyzna ukocha kobietę-kwiat, kobietę-motyła, a życie kwiat zwarzy, motylowi skrzydła połamie, a ptaszynie odbierze jej szczebiot, co mu wtedy do kochania pozostanie?...

IX.

— Warszawa, proszę o bilety!...

Słowa te, donośnie i przeciągle rozlegające się w przedziale wagonowym, wstrząsnęły mną.

Zbudziłam się nagle z apatyj, w którą mnie pograżyło zmęczenie długiej podróży i żal rozstania poraz pierwszy w życiu ze swymi.

Wstałam zelektryzowana, oddałam bilet i zaczęłam z okna wypatrywać tej Warszawy, tego upragnionego celu dążeń, o który długie musiałam stoczyć walki. O! tym razem to naprawdę jadę w świat i sama i ze świadomym sobie celem! To już nie jest wycieczka do Sławina na bal! Uśmiechnęłam się z litością nad samą sobą na to wspomnienie! Wtedy jechałam po romantyczne wrażenia, a dziś! co za różnica!... Jadę dla szlachetnej pracy, jadę bez niebezpiecznego balastu złudzeń, spokojna i trzeźwa! W głębi serca jakiś nieśmiały głos odzywał się cicho, głuszony, a jednak wyraźny, że może w tej podróży do pięknego celu szczęście się znajdzie po drodze? Kto to wie?... Nie bardzo chciałam słuchać tego głosu, ale uśmiechałam się mimowoli, bo od niego robiło mi się ciepło i jasno na duszy!

W szarej listopadowej mgle zamajaczyły niewyraźnie kontury dachów i kominów. Pociąg świstał i zwalniał biegu, w wagonach zaczął się ruch; ścia-

gano rzeczy z góry, wkładano futra. Mnie nagle strach schwyił. Ta Warszawa taka duża, taka obca, a ja taka sama!

Co będzie, jeżeli p. Stefanii nie znajdę na dworcu? jeśli się nie odszukamy, nie poznamy? Przed oczami zaczęły migać nieruchome szeregi wagonów, pokrzyżowane linie relsów, czerwona wieża strażnicza... Tragarze biegli koło pociągu, wspinali się zręcznie do wagonów. Gdzieś, nie wiadomo z kąd, zaczął się wysuwać gmach dworca ze swemi wielkimi oknami i szarą platformą... Staaliśmy.

Panna Stefania!... Poznałam swoją nauczycielkę odrazu. Trochę jej cera pociemniała, trochę schudła, ma zmarszczki w kątach oczu — ale ta sama!

— Więc to Józia!

Trzyma mnie przed sobą za obie ręce i patrzy badawczo. Na twarzy jej miga jakby cień rozczarowania. Może myślała, że jestem ładniejsza.

— No, moja Józiu, uściskaj mnie! Dumna jestem z ciebie! Moje nauki nie padły na grunt jałowy. A miałam chwile zwątpienia. Myślałam sobie: wiejska panna, z obywatelskiej sfery!... Ale później pogadamy! Gdzie twój kwit na rzeczy?

Całe krzatanie i aferowanie zostawiłam pannie Stefanii, a sama siedziałam spokojnie w poczekalni, patrzyłam na snujące się przedemną gorączkowo tłumy—i było mi smutno. Wielkie dworce kolei zawsze na mnie smutne wywierają wrażenie. Jest mi w nich obco i jakby straszno. Męczy mnie ta nerwowość, wisząca tam w powietrzu, to zatokowanie się każdego we własnych sprawach, ta bezbrzeżna obojętność i tymczasowość tła.

Lecz oto siedzimy w dorożce i jedziemy przez Pragę z przeraźliwym hałasem i turkotem. Jestem zupełnie odurzona. Panna Stefania mówi coś, czego nie mogę dosłyszeć. Wisła! szeroka, poważna, szara, ginąca w mgłę. Otóż i Krakowskie Przedmieście,

prawdziwa Warszawa! Co jest tym przechodniom? Gdzie się oni tak śpieszą? Przykry hałas ustał, powóz toczy się cicho i równo po drewnianym bruku, a panna Stefania mówi:

— Więc to prawda? Więc ty przyjeżdżasz tu uczyć się medycyny, dzielna dziewczyno?!

— Ale gdzież medycyny, proszę pani! Chcę się trochę obeznać z opatrunkami, osłuchać!...

— Chociażby! Zawsze to pięknie z twej strony! Julek, mój brat, nie chciał wierzyć, gdym mu powiedział!

Tu p. Stefania wstrząsnęła moją ręką z zapalem.

— Powiedziałam Julkowi, ażeby dziś wieczorem przyprowadził paru kolegów. Chcę, ażebyś ich poznała, tacy inteligentni chłopcy, społeczni!

— Dziś? Ja dziś taka jestem zmęczona, panno Stefaniol!

— To nic. Wyśpisz się po obiedzie.

Dorożka stanęła przed wysoką kamienicą na Kruczej. Wywindowałyśmy się po schodach aż na trzecie piętro. Drzwi nam otworzyła dziewczyna w fartuchu i z rękawami zawiniętymi, widocznie od kuchennych zajęć oderwana. Stwierdzał to zresztą silny zapach pieczeni wołowej z brukwią, napełniający mieszkanie. Panna Stefania chciała mnie zaraz w tryumfie prowadzić do matki, ledwo się wymówiłam od tego potrzebą gruntownej toalety. Zaprowadzono mnie do mego pokoiku, którego jedyne okno wyglądało na podwórze. Stałam przy niem. W dole, jakby na dnie studni czworokątnej, płat asfaltu, ciemny od wilgoci; w górze mały skrawek nieba, prawie tegoż koloru, wokoło mury i szeregi okien. Gdzieś z dołu płynie jednostajny stuk młotka, a z sąsiednich okien dźwięki cierpliwie wygrywanych gam.

Gdzie moje niezmierzone obszary poleskie, gdzie nieobjęta okiem kopuła niebios, z gnaniami przez wichry ciężkimi jesiennymi chmurami? Gdzie wielkie,

milczące, o przeszłości zadumane pokoje trocickie? Gdzie oni, moi wszyscy?

Ogarnęła mnie taka tęsknota, tak mi było obco w nowem otoczeniu, żebym się najchętniej zabrała w tej chwili i odjechała z powrotem. Ale zawstydziałam się tej słabości; czyż poto dobijałam się o przyjazd tutaj, ażeby się zaraz cofać na pierwszym kroku?

Przy obiedzie poznałam rodzinę panny Stefanii. Składały ją: matka, staruszka żywa i gadatliwa, siostra, anemiczna pensyonarka, o sprytnych oczkach, i Julek, student matematyki, niezwykle rozczochrany i chmurnie patrzący przez okulary.

— Słyszałem, że z pani kokosowa facetka... porządna osoba, chciałem powiedzieć — wygłosił z niezachwianą powagą, wypróżniając jednocześnie talerz zupy z całą sumiennością.

— Dobrze pana poinformowano — odpowiedziałam z nie mniejszą powagą.

Tu podłotek błysnął ku mnie złośliwie oczkiem, a pani Wilecka rzekła:

— Mój Julku, jakżebyś ty chciał, ażeby osoba z obywatelskiego domu nie była porządną?

— Ależ, moja mamó, to zupełnie o co innego chodzi... — przedstawiała panna Stefania.

— Ja wiem to tylko — ciągnął Julek, tonem aurytetu — że kiedy te panny, tak zwane „obywatelskie”, przyjeżdżają do Warszawy, to po to, ażeby u Hersego przesiadywać po całych dniach, albo żeby naiwnych pasażerów łapać na mężów. Ale pierwszy raz słyszę, żeby taka przyjechała dla „kucia” i to porządnego kucia. *Eo ipso...*

— A co w tem złego, że sobie męża kto szuka, albo że suknię sprawia u Hersego, kiedy go stać na to? — odezwał się znów praktyczny głos matki.

— Ja nawet myślę, że to bardzo dobrze! — zadzwonił cienki głosik podłotka.

Panna Stefania i Julek spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami, lecz nie prowadzili dalej tej dyskusyi; moja ex-mentorka spytała brata:

— Czy przyjdą dziś twoi koledzy?

— Przyjdzie Stach, Miech i Jastrząb.

— O! to dobrze, ja jeszcze słówko napiszę do profesora. Poznasz odrazu, Józiu, towarzystwo ludzi inteligentnych, poczujesz różnicę między nimi a ludźmi, z którymi obcowiałaś dotąd.

— Stefciu, ja przyprowadzę Hankę i Stasię, dobrze?

— Poco nam te gąski? O lalkach i o gałganekach rozprawiać nie będziemy.

— Julku, bardzo proszę!... — powiedziała Jadzia tonem wyniosło-obrażonym. — Właśnie, że Stasia jest bardzo społeczna, jeżeli chcesz wiedzieć...

— No! dobrze, dobrze, Jadziu, niech sobie przyjdą twoje koleżanki. A teraz, Józiu, radziłabym ci położyć się i wypocząć.

Skwapliwie usłuchałam tej rady.

X.

Zaraz nazajutrz udałam się do pani Długoleckiej, która miała mi ułatwić wstęp do jednego z ambulatoryów, zostających pod jej opieką.

Była to dawna znajoma p. Adama; pisał do niej o mnie i otrzymał zapewnienie z jej strony, że się mną zaopiekuje. Pani Długolecka mieszkała na Nowym Świecie, w bardzo pięknym i wytwornym apartamencie. Służący przeprowadził mnie przez duży salon, gdzie kilkanaście osób żywo rozprawiło, siedząc koło okrągłego stołu—aż do małego saloniku, pełnego książek, kwiatów i obrazów. Po chwili weszła pani Długolecka. Uderzyły mnie jej siwe włosy przy bardzo rozumnych, żywych, czarnych oczach, oraz strój jednocześnie bardzo staranny i bardzo wykwintny. Przywitała mnie z uśmiechem ujmującym, który odrazu wziął mnie za serce, i ująwszy za obie ręce przez chwilę patrzyła mi badawczo w oczy.

— Pan Korzecki dużo dobrych rzeczy pisał mi o pani—powiedziała. — Więc pani chce pracować naprawdę i naprawdę czegoś się nauczyć!?

— O! tak!—potwierdziłam gorąco!

— A zatem dobrze—powiedziała z uśmiechem—wprzagniemy panią do pracy. Ostrzegam, że łatwą nie będzie, ani też przyjemną. Codziennie parę godzin spędzi pani w ambulatoryach, pomagając doktorom przy opatrunkach i małych operacjach. Dokto-

rzy będą się niecierpliwić, chorzy jęczeć, trzeba to wszystko znieść spokojnie...

— Jestem bardzo cierpliwa i mam zdrowe nerwy—powiedziałam z uśmiechem.

— Doskonale. Takich nam trzeba. Naucz się pani opatrunki robić, bańki stawiać, lekarstwa przyrządzać i wiele innych rzeczy. A że teoria jest nieodzowną, więc będzie też pani przychodziła do mnie trzy razy tygodniowo wieczorem, a dr. Jaworski będzie to uzupełniał różnemi wiadomościami z higieny i popularnej fizjologii. Jest to człowiek młody, bardzo dobrej woli, mówiłam już z nim o tem, bo mam oprócz pani parę innych kandydatek do jego wykładów. Czy podoba się pani mój plan?

W miejsce odpowiedzi pochyliłam się i pocałowałam ją w ramię. Byłam tak ucieszona! Pani Długołęcka dotknęła ustami mego czoła, poczem rzekła:

— A zatem pracę od jutra zaczniemy. Niech pani jutro o 2-giej przyjdzie na Hożą. A teraz muszę już wracać, bo mam sesję w salonie o przytułkach dla nieuleczalnych. Kiedyś i to dam pani poznać...

Nazajutrz, o godzinie naznaczonej, wzruszona i przejęta, stawiałam się w ambulatoryum. Niosłam z sobą cały strój odpowiedni: płócienną bluzkę i ogromny biały fartuch z rękawami. Znalazłam się najprzód w małej i ciasnej poczekalni, tak zapchanej chorymi, że przejść było trudno. Zaduch, wyziewy z ran, stękania chorych przykro mnie uderzyły na wstępie. Pierwszem mem uczuciem było wyrwać się stąd jak najprędzej. Spytałam najbliższej stojącego człowieka o panią Długołęcką. Na to nazwisko wszyscy się rozstąpili z pośpiechem i zostałam bez trudu przeprowadzona do sąsiedniego pokoju, stanowiącego rodzaj apteki. Ujrzałam tam panią Długołęcką, piszącą coś w księdze i jasnym, pewnym głosem wywołującą chorych po imieniu. Na mój widok powstała i powitawszy mnie miłym swym uśmiechem, wskaza-

ła, gdzie mam się przebrać, poczem, posadziwszy mnie obok siebie, rzekła:

— Nie damy tu pani próżnować, ale dziś niech się pani przypatruje tylko wszystkim, aby się łatwiej potem połapać.

Byłam rzeczywiście odurzona, wstrząśnięta i prawie przerażona. Z sąsiednich chirurgicznych pokojów dochodziły mnie co chwila krzyki, jęki, lub płacz dziecinny; wszystko, co mnie otaczało, było tak nowe dla mnie, tak różne od tego, co znałam dotychczas! Był to świat cierpienia i nędzy, o jakiej dotychczas nie miałam pojęcia. Moje własne smutki i dolegliwości topniały mi w oczach do drobnych rozmiarów, serce rozszerzała mi wielka litość. Przez otwarte drzwi do sąsiedniego pokoju widziałam dwie staruszki i jakiegoś drżącego dziada z siwą brodą. Wszyscy troje mieli nogi stanowiące jedną okropną ranę. Przed nimi klęczały dwie wytworne panie w białych fartuchach i robiły opatrunek delikatnie i umiejętnie. W pokoju, gdzie siedziałam, było kilka bladych i wynędzniałych kobiet, tulących do siebie chore i płaczące dzieci. Pani Długołęcka wpisywała do księgi ich nazwiska, rodzaj choroby, adres, a jednocześnie łagodnie i prawie z miłością dopytywała je o byt materialny, o różne braki i potrzeby. Pod oknem w tym samym pokoju znajdowało się kilka pań, z których jedne gorliwie mieszały mikstury i maście, inne ważyły proszki i przylepiały etykiety na flaszkach, inne znów rozdały lekarstwa według przedstawianych im kartek i recept.

— Trzeba panią przeprowadzić do oddziału chirurgicznego — powiedziała pani Długołęcka. — Na wsi, gdzie są tak częste wypadki poranienia, to się pani najbardziej przyda, szczególniejsze robienie opatrunków.

W pokoju chirurgicznym na środku stał duży stół, przykryty białą ceratą. Leżało na nim dziecko, krzyczące i rzucające się przeraźliwie, silnie przytrzy-

mywane przez trzy panie, z których jedna wkładała mu w usta karmelki dla osłody. Doktor, pochylony nad dzieckiem, szprycował świeżo przecięty wrzód na szyjce i przemawiał łagodnie i pieśczośliwie:

— Jeszcze chwilkę, chwileczkę, maleńki!... Już dobrze, już, już!...

Panie pomocnice uniosły rozkrzyczane maleństwo ze stołu, a operator wyprostował się i głęboko odetchnął.

— Panie Jaworski, przedstawiam panu przyszłą uczennicę, ma silne powołanie na infirmerkę. Proszę ją wprzęgnąć do roboty pod swoim kierunkiem — powiedziała pani Długolecka.

Doktor ukłonił się i popatrzył na mnie. Był to człowiek bardzo jeszcze młody, szczupły i wysoki. Pierwszą moją myślą, gdy spojrzałam na niego, było: „Jaki sympatyczny!...” Rzeczywiście, z całej jego młodzieńczej postaci, ze spojrzenia siwych, trochę zamglonych oczu, z bardzo łagodnego uśmiechu, wiał dziwny czar. Było w nim coś miękkiego, marzycielskiego, coś, co więcej przypominało poetę, niż lekarza.

— To pani aż z Litwy przyjechała tu na naukę?—przemówił bardzo dźwięcznym głosem.

— Tak—szepnęłam, nagle onieśmielona.

— Po to, aby te wiadomości stosować u siebie, w wiosce? — ciągnął dalej, patrząc na mnie z uznaniem.

Potwierdziłem raz jeszcze.

— Pierwszy raz spotykam takie dążenia i aspiracje u wiejskiej panny. I co panią niemi natchnęło?

— Dobry przykład — odpowiedziałam i głęboka wdzięczność dla p. Adama silnie zadrgała mi w sercu w tej chwili.—Zaczęłam zajmować się udzielaniem rad i niesieniem pomocy chorym, a że moja nieumiejętność stawała mi ciągle na przeszkodzie, więc postanowiłam uczyć się, o ile to dla mnie dostępne.

— A więc będziemy się uczyć — powiedział Jaworski z sympatycznym, udzielającym się uśmiechem.— Będzie to nauka rzeczywiście o tyle, o ile, ale zawsze lepsze to, niż nic. Czyż w okolicy pani brak lekarzy?

— O! tak. Najbliższy lekarz mieszka o cztery mile. Są po gminach felczerzy, którzy w gruncie nic nie umieją, tylko bańki stawiać, i często więcej szkody przynoszą, niż pożytku.

W tej chwili do pokoju wniesiono chłopaka z nogą ogipsowaną. Należało zdjąć opatrunek i nogę gimnastykować.

Dr. Jaworski wezwał mnie jako pomocnicę. Podawałam mu potrzebne narzędzia, trzymałam chłopaka, a czyniłam to wszystko z całą gorliwością i uwagą, do jakiej byłam zdolną. Po chłopaku nastąpiła kolej na wstrętą ranę, którą należało oczyścić. Tu już miałam większe pole do pomocy, ale i zadanie o wiele trudniejsze. Przez chwilę myślałam, że nie przemogę odrazy, czułam, że blednę, zrobiło mi się ciemno w oczach, ale trzymałam się ze wszystkich sił. Jeśli zemdleję, co o mnie doktor pomyśli? Byłby to wstyd straszny, rzeczywiste przyznanie się do niemocy, do wydelikacenia nerwów. Na wstępie utraciłby dobre mniemanie, jakie ma o mnie.

Spojrzałam na jego twarz spokojną, pełną skupionej uwagi—i poczułam się silniejszą.

Gdyśmy skończyli, doktor powiedział z zadowoleniem:

— No, myślę, że będę miał w pani dzielną pomocnicę!

A ja cała się rozpromieniłam. Byłam wynagrodzona sownicie.

Wracałam do domu na skrzydłach i długo, ze wszystkimi szczegółami opowiadałam pannie Stefanii o wszystkich urządzeniach ambulatoryjnych. Byłam zachwycona samą instytucją, paniami opiekunkami, doktorami, a także tem, że i ja w tem będę grała ja-

kąś rolę, że się stanę pożyteczną, że się nauczę dużo niezbędnych rzeczy i że je będę później stosowała na wsi. Uniesiona zapałem, kreśliłam plan przyszłej apteczki, mającej zawierać wszystkie najbardziej udoskonalone, najnowsze środki medyczne. Widziałam siebie robiącą opatrunki, bandażującą złamane członki i tak się zapędziłam, że z lancetem w ręku już przecinałam wrzody...

Panna Stefania przytakiwała mi z uznaniem, a Julek wykrzykiwał od czasu do czasu:

— No, no, nie myślałem, że te wielkie panie wyelegantowane mogą się na coś przydać! Tylko, że one to pewno robią dla mody!

Nazajutrz wieczorem udałam się do pani Długoleckiej na lekcję dra Jaworskiego. W saloniku siedziały już trzy panie: dwie mężatki i jedna niemłoda panna, którą widziałam w ambulatoryum. Po chwili zjawił się doktor z zeszytem pod pachą. Z początku był nieswój i trochę onieśmielony, rzadko widocznie znajdował się w towarzystwie dam. Gdy jednak zaczął swój wykład, zachodziła w nim stopniowo metamorfoza. Oczy mu zajaśniały jakimś wewnętrznym światłem, z czoła zdawała się promienieć myśl rozumna, głos nabrał siły. Wykładał dziwnie jasno, prawie przekonywająco, jeśli można się tak wyrazić, a z tak widocznym zamiłowaniem! Kochał ten przedmiot, kochał swój fach — to było oczywiste; miałam przed sobą rzadki typ — lekarza z powołania. Słuchałam go uważnie, rozumiałam doskonale i zapisywałam w pamięci każde słowo.

Po lekcji przyszła pani Długolecka i zaprosiła nas wszystkich na herbatę. Dwie z mych koleżanek wymówiły się i została tylko pani Rolecka, młoda i światowa mężatka, profesor nasz i ja. Pan Długolecki, który zajmował wybitne stanowisko w jednej z instytucyj ziemiańskich i bywał bardzo zajęty z tej racji, był nieobecny. Pijąc elegancko podaną herbatę, w stylowym jadalnym pokoju, przysłuchiwałam się

w milczeniu rozmowie. Lubiałam patrzeć na Jaworskiego, gdy mówił. Jego twarz, w stanie spokoju mająca jakiś wyraz zaabsorbowania i skupienia w sobie, mieniła się wówczas coraz innymi wrażeniami. Odbijała poprostu każdą myśl jego, jak zwierciadło. Pani Rolecka napadała na doktora z wielkiem i wdzięcznem ożywieniem zato, że się nie żeni.

— Bo pan jest strasznie kapryśny i wymagający!—wymawiała mu żartobliwie.—Pan przechodzi koło panny, jak koło stołu, ekranu lub innego sprzętu, obojętny, wiecznie zamyślony! Niema takiej, któraby miała szczęście zwrócić uwagę pańską!

— Ależ ja wcale nie jestem kapryśny — tłumaczył się Jaworski bardzo seryo.—Jabym od przyszłej żony jednego głównie wymagał, tego, aby mi była towarzyszką, aby czuła wraz ze mną i rozumiała mnie, aby mi nie była kamieniem u nogi, ale skrzydłami u ramion, chciałbym, jednym słowem, aby miała duszę!...

— To nie lada co! — uśmiechnęła się pani Długocka.

Nie wiadomo jak, nie wiadomo zkad, przed oczami memi stanął nagle ogród, cały wyzłocony od słońca, drgający muzyką świerszczów, w ogrodzie tym aleja pełna zielonych pół-światel i okrągłych plam słonecznych, a w tej alei rozlegający się głos: „Czy pani sądzi, że się nie znajdzie mężczyzna, który potrafi duszę ukochać?...” Targnęło mi się serce w piersiach i zaczęło bić, bić, bić...

— Więc panu byłoby wszystko jedno: czy żona brzydka, czy ładna, stara, czy młoda, brunetka, czy ruda?—żartowała pani Rolecka.

— O, to pewno, że powierzchowność grałaby jedną z najmniejszych ról! Lalki nie chcę, choćby była piękną jak Wenus!...

— A czy pan już kochał się w życiu?

— Jak miałem osiemnaście lat, w kuzyuce star-

szej od siebie. Potem nie. Nie miałem czasu, nie widywałem prawie kobiet, żyłem z kolegami, zaabsorbowany nauką.

— O! to serce pana jest lasem dziewiczym, nietkniętym niczyją stopą! To ciekawe! Kto wie, co się tam mieścić może? A nuż jakie wielkie niespodzianki?

Pani Rolecka śmiała się, pokazując rząd drobnutkich ząbków, śmiał się z nią i doktor.

— Jak można tak lekko odzywać się o podobnych kwestyach?—myślałam trochę oburzona.—Pani Rolecka jest niedyskretną i niedelikatną. Ale on? czy być może, aby się nigdy dotychczas nie kochał?... To wyższych aspiracyj człowiek, on pewno miłość uważa jako przydatek w życiu, i to mniejszej wagi... Chce kobiety, któraby go rozumiała... Czy to łatwo jego zrozumieć?

Pani Długolecka zaczęła z panią Rolecką rozmawiać o zaręczynach jakiejś znajomej panny, a ja nieśmiało spytałam Jaworskiego:

— Co pana skłoniło do zostania lekarzem: Miłość wiedzy, czy chęć niesienia pomocy drugim?

Zamyślił się i odpowiedział:

— Chyba, że to drugie! Miałem zawsze ogromną litość dla cierpień ludzkich i zawsze szukałem sposobu przyniesienia im ulgi. Później nabyłem przekonania, że na tej drodze będzie to najłatwiejszem do spełnienia. Z czasem nabrałem zamiłowania do medycyny, jako do wiedzy; interesuje mnie żywo każdy postęp, każdy wynalazek na tem polu.

— I teraz pan ma życie całkiem zapełnione?

— O, tak! Ja się nie zamykam zresztą w obrębie swego fachu, zajmuje mnie wszystko, cokolwiek się dzieje na świecie, zwłaszcza w dziedzinie umysłowej, wszystko, co tętni myślą i życiem!..

Mówił z młodzieńczym zapałem, a jednocześnie ze spokojem, świadczącym o zupełnej równowadze.

A mnie, patrzącej na niego, zdawało się, że jest w jakiejś aureoli.

Wieczorem dnia tego powtarzałam sobie przed zaśnięciem odbyłą lekcję. Z dziwną dokładnością odnajdywałam w swej pamięci nie tylko całe okresy i pojedyncze słowa, ale ton mowy, wyraz twarzy i wszystkie gesta profesora. Zasnęłam z uśmiechem na ustach i z duszą pełną jasności.

XI.

I zaczął się dla mnie szereg dni pracowitych, wypełnionych po brzegi, ale cichych i jednostajnych. Spędzałam codziennie parę godzin w ambulatoryum, chodziłam regularnie na lekye do pani Długołęckiej, pomagałam jej przygotowywać bandaże, szyć sukienki dziecinne; wzywała często mojej pomocy i lubiła się mną wyręczać.

Chodziłam od czasu do czasu do teatru z panną Stefanią, albo na herbatki do różnych jej znajomych. Tryb mojego życia niewiele się różnił od trybu życia na wsi, mogłam prawie zapomnieć o tem, że mieszkam w wielkiem mieście, ale nigdy w życiu nie czułam się tak szczęśliwą. Wyrzucałam to sobie nawet, szukałam w sobie tęsknoty za domem i za swoimi; wmawiałam w siebie, że to szlachetne i pożyteczne zajęcie napelnia mnie takim szczęściem, ale wszystko napróżno. Musiałam w końcu przyznać się do prawdy przed samą sobą. Jak ogień ukryty w budynku przeciska się nazewnątrz wszystkimi szczelinami, tak ze mnie promieniowała nie dająca się ukryć wielka radość i pełnia życia. Na moje niebo weszła zorza miłości i świat cały stał przedemną w jej blasku. Była to miłość w pierwszej swej fazie, wtedy, gdy żyje tylko zachwytem i jasnością, gdy nie zna jeszcze łez, gdy sama w sobie znajduje nieprzebrane

źródła radości, gdy jej wystarczy to, że jest, i gdy jeszcze nie pragnie niczego poza tem.

Codziennie, otwierając oczy zrana, myślałam z dużą pełną uśmiechów: „Dziś go zobaczę!” Codziennie, kładąc się spać, przypominałam sobie jedne po drugich jego słowa, spojrzenia, ruchy... Na lekcjach nie było wypadku, ażebym nie zrozumiała, nie zapamiętała czego, zawisłam wprost na ustach profesora, jego słowa w lot chwyciłam, to też wyróżniał mnie stanowczo jako najlepszą uczennicę.

W ambulatoryum, przy najwstrętniejszych ranach, byłam tak mężną i tak gorliwą, że najchętniej mojej pomocy używał. Pani Długołęcka zdumiewała się nad mojami postępami i pisała do p. Adama pochwały o mnie.

W krótkich przerwach i odpoczynkach między dwiema operacyami gawędziliśmy nieskończenie z panem Karolem, bo tak w myśli nazywałam Jaworskiego. On doskonale znał już z mej opowieści moje życie dotychczasowe, rodzinę, p. Adama, a zwłaszcza stosunki nasze wiejskie, lud, okolicę. Mnie też obcą nie była historia kształtowania się jego pojęć, walk z otoczeniem, zwątpień i zachwyków. Jego idealizm nieraz w zdumienie mnie wprowadzał. Zdawało się czasem, że Karol nie żyje w świecie, tak go ciągle absorbowwały abstrakcje; do rzeczy codziennych, realnych przynosił tylko roztargnioną uwagę, wtedy tylko było mu dobrze, gdy szeroko rozwijał skrzydła myśli. Życie i jego wymagania były mu tak obce, że ja przy nim czułam się praktyczną i trzeźwą. Ale tę właśnie cechę najbardziej wielbiłam w „swoim wielkim marzycielu.” Korzyłam się przed nim, stawiałam go w myśli na piedestale, wyosobionym od reszty świata i od innych śmiertelnych, i kochałam, ach!... kochałam!...

Na świecie nastąpiła tymczasem zima, tęga, mroźna, słoneczna, taka, jaka bywa często w początkach. Na ulicach ucichł turkot, dźwięczały tylko raźnie we-

sołe dzwonki u sanek. W oknach sklepowych zaświeciły barwne, wyłącane „wydawnictwa gwiazdkowe”, książki dla młodzieży, cacka na choinkę. Pani Długołęcka krzątała się gorliwie koło urzędzenia gwiazdki dla biednych, a ja zaczęłam myśleć o wyjeździe do domu na czas świąt.

Przed samemi świętami otrzymałam list następujący:

„Moja Józiu--pisała ciocia swoim staroświeckim maczkiem—bardzobyśmy chcieli widzieć ciebie i przelać się opłatkiem przy wigilii, ale o tem niema co myśleć. Mrozy okropne, ani dnia odwilży, drogi zawiane, śniegi duże. Jak ty przebędziesz te 12 mil od kolei? Zmarzniesz, przeziębisz się, jeszcze błądzić będziesz, jeżeli, broń Boże! trafi się zawieja. Mówią, że stada wilków włóczą się; podobno w Szarzeczkim lesie jednego chłopca całkiem zjadły, tak, że znaleźli tylko buty. Siedz ty już lepiej w tej Warszawie, będzie bezpieczniej, a zato wybierz się wcześniej z powrotem, tak w lutym, jak mrozy ustaną, a sanna będzie jeszcze trzymała. Tylkoż nie wybieraj znów tak, ażeby jechać w roztopy; pamiętaj, że na wiosnę będą klacze ze źrebiętami, to i nie bardzo będzie co posłać na kolej. Wiem, że tobie będzie smutno siedzieć samej w święta, ale po co tobie zachciało się tej Warszawy? Mówiłam zawsze, że to sensu niema. Pannie zawsze najlepiej w domu.

„U nas wszystko po dawnemu. Brat zdrow, do polowania ciągle rwie się, ledwie wyperswadować mogę, ażeby zdrowia nie narażał, że to nie jego lata. Zosia uczy się, ale uważam, że coś nie bardzo chętnie, nie tak, jak to ty dawniej. Młócimy teraz, ziarno nieźle sypie w tym roku, ale wagi niema dobrej. Odprawiłam „namiestnika”, bo kradł, jest teraz nowy, co służył w Kamieniu. Młody Dzierżewicz ciągle tu podjeżdża, czy nie do Zosi bierze się? Sensu niema, bo ty pierwsza powinnaś wyjść za męża; tamta

smarkata niech czeka. W Powalinie mają biedę: zapaliło się było w kominie, Korzecka przestraszyła się i wyskoczyła na ganek. Zaziębiła się i chora na zapalenie płuc. Teraz trochę lepiej, ale doktorzy mówią, że trzeba będzie jechać na Południe. Zawsze mówiłam, że to nierozsądna kobieta. Czego było wyskakiwać z pokoju, kiedy wiadomo, że nieprzywykła do powietrza, po całych dniach leżąc na kanapie? Mówią, że strasznie kaprysi w chorobie, biedny Korzecki chodzi, jak mara.

„Pilnuj się, żeby się nie przeziębić w tej Warszawie. Pewno w te mrozy chodzisz bez chustki na głowie? Sensu niema. Co z tej elegancyi, jak się rozchorujesz? I nie zjedz co niezdrowego. Oni tam podobno zamiast masła używają łożu. W domu przynajmniej miałybyś zdrowe jedzenie.

Bądź zdrowa—całuję ciebie

Twoja ciotka.”

Zosia pisała:

„Cioteczko, jaka ciocia szczęśliwa, że jest w Warszawie, w mieście! Na przyszły rok muszę i ja tam pojechać koniecznie. Powiem także, że się chcę niby czegoś uczyć, chociaż co tam za nauka być może, gdzie się bawią? Czytałam w gazetach o różnych rautach i teatrach i myślę, że ciocia tam jest. A czy ciocia będzie sprzedawała na bazarze gwiazdkowym? Proszę mi opisać, ciocuniu, jak to tam urządzone? Moja ciociu, poszłam o zakład z Kaziem, że w Warszawie panie w teatrze przyjmują cukierki od panów. Proszę mi napisać, moja złota, i prędko, bo zakład o niebyłe co.

„Mamy nowego sąsiada, wziął w dzierżawę Koinin. Jest on kuzynem pana Januarego i przyjeżdżał z nim do nas. Czerwony jest, opalony i ma wąsiska jak miotły. Namawiam M-lle Julie, aby się w nim zakochała, ale jakoś niema ochoty. Na wiosnę będę

jeździła konno. Wybłagałam to u dziadzia i ma kazać siodło robić. Kazio ujeżdża dla mnie Ilnę i będzie mnie uczył. A teraz droga, złota, jedna prośba. Proszę u Clementine obstalować dla mnie suknię *zupetnie długą i bardzo modną*. Wszak już kończę lat szesnastcie za sześć tygodni i muszę nosić długie i strojne suknie. Niech będzie koloru *vert pislache*, jak suknia pani Ludwikowej (myślę, że taki kolor będzie mi do twarzy), z karczkiem z kremowego *surah* i ze złotemi guziczkami. Miare swoją przysyłam. Do widzenia, ciotuś, pieszczę, ściskani, całuję.

Zocha."

Zamyśliłam się nad temi listami, nad listem ciotki, bo mi ogromnie żal było biednych Korzeckich, bo dokładnie stanął mi przed oczyma pan Adam, wyglądający jak „mara”, a nad listem Zosi, bo mnie zaniepokoił. Czyżby nasza mała wyrastała na płochą dziewczynę? Ja w jej wieku podobnych myśli nie miałam w głowie. I zkaąd to się wzięło u niej, spędzającej życie między dwojgiem staruszków, w cichych Trociczach? Może to dziedzictwo po matce? Bratowa moja, była bardzo ładną i bardzo światową. Bawiła się dużo i stroiła bardzo; mieszkali w Wilnie z biednym Frankiem i Zosia miała dziesięć lat, gdy jako sierota przybyła do nas. Dziwna rzecz, jak są trwałe pierwsze wrażenia dzieciństwa! Zosia w Trociczach zawsze wyglądała, jak kwiatek przesadzony z innego gruntu. Rozwijała się jak sama chciała. Ja pieściłam ją ogromnie, ale dotąd mało się zajmowałam kształtowaniem jej charakteru, ojciec nie wchodził w szczegóły naszego wychowania, a ciotka była wiecznie zajęta. Przyrzekałam sobie teraz, że się poważnie wezmę do Zosi. Zasięgnę rady p. Adama i Zosię oddamy do Warszawy lub Krakowa pod jaki dobry kierunek dla dokończenia jej wychowania.

Święta spędziłam w Warszawie. Tak wciąż żyłam w swoim zaczarowanym śnie, że nawet nie od-

czułam w sposób bardzo bolesny rozłąki z rodziną. Dręczyła mnie wciąż jedna myśl tylko, z listu ciotki poczerpnięta: w lutym miałam wracać do domu i wszystko miało się skończyć — na zawsze!... Czułam, że z chwilą wyjazdu mego do Trocicz, cała Warszawa i on zapadliby się dla mnie w otchłań, istnieliby tylko w tęskaem wspomnieniu. Bunt mnie chwycił na tę myśl; postanowiłam mocno zostać w Warszawie aż do wiosny. Stanowiłoby to zawsze jeszcze ze cztery miesiące szczęścia, dobre i to — a potem? Młodość daleko w przyszłość nie sięga, gdy jej dobrze, to żyje tylko obecną chwilą. Jest to przywilej, który się w życiu nie powtarza.

Co Karol czuł dla mnie?

Pytanie to zadawałam sobie nieraz, ale nieśmiało, po wierzchu, nie odważając się go zgłębić. Miał dla mnie szacunek i uznanie, to było niewątpliwe, traktował mnie poważnie, liczył się ze mną, ale miałam to wrażenie, że widział raczej we mnie dobrze myślącego kolegę, niż kobietę. O! jakże ja dobrze znałam ten obojętny wzrok mężczyzn, który nie zatrzymywał się nigdy dłużej, prześlizgiwał się tylko, jak po martwym przedmiocie i szedł dalej, szukać miłszych dla oka widoków! Marzeniem mojem na jawie, snem codziennym w nocy było spojrzenie Karola, zatrzymujące się na mnie z tą przedziwną mocą, słodyczą, uniesieniem zachwytu, jaki ma wzrok mężczyzny, gdy spoczywa na ukochanej kobiecie. Spojrzenie takie widywałam u innych... i dla innych młodził się w niem cały poemat uczucia, a ja zawsze wtedy myślałam: Szczęśliwe, szczęśliwe i jaką one mają zasługę i co one zrobiły, aby tak na nie patrzano! Jakże często lekceważą, nie rozumieją, szydzą nawet, stroją się w to ofiarowywane sobie uczucie, robią z niego jedną ozdobę więcej, albo poprostu zabawkę! Ach! gdyby raz jeden, jedyny, ktoś tak spojrział na mnie! Byłby to promień na całą szarą resztę życia! Dziś — dodawałam w duchu, cichutko, nieśmia-

to — gdyby tak Karol spojrzał na mnie, tobym chyba umarła ze szczęścia!..

Święta przyniosły mi przerwę w zajęciach. Z niecierpliwością wyglądałam ich końca. Było mi nudno, było mi tęskno... do chorych i ambulatoryów. Nareszcie! Otrzymałam bilecik od pani Długoleckiej, wzywający mnie do moich obowiązków. Z uśmiechem na ustach, z sercem pełnym radości weszłam do sali chirurgicznej. Przed stołem chirurgicznym, na miejscu Karola, stał inny, nieznamy...

— Gdzie doktor Jaworski?

Pytanie to wybiegło mi z ust, zanim się spostrzegłam.

— Jaworski wyjechał z Warszawy, ja go zastępuję — rzucił krótko doktor, bardzo zajęty opatrunkiem.

Powiedział to tak objętnie, tak spokojnie, jak rzecz najzwyczajniejszą w świecie, a we mnie jakby grom uderzył. Pojechał! może na zawsze, i wszystko się zakończyło, nagle, prawie brutalnie, a tak jakoś prosto i łatwo. Pojechał!

Dnia tego zajęcia swoje wykonywałam, jak automat, nie słyszałam, co do mnie mówiono, upuszczałam wszystko z rąk. Naokoło mnie chorzy jęczeli:

— Gdzie doktor Jaworski? Myby do niego chcieli?

Wszyscy bowiem przepadali za nim, a w szczególności dzieci; miał dziwną słodycz w obejściu z nimi i dar zjednywania ich serc... Wołania te sprawiały mi ból, a zarazem pociechę. Takbym chętnie zawołała z nimi:

— Gdzie doktor Jaworski? Ja nie chcę innego!..

Wieczorem wypadła lekcyja u pani Długoleckiej. Na jego miejscu, na jego krześle siedział kto inny. I tu go już zastąpili, tak łatwo, tak prędko, jego, którego nikt zastąpić nie może! Gdy się rozległ w pokoju głos profesora, mówiący właśnie

o tych samych rzeczach, co Karol na ostatniej lekcyi, ogromna fala żalu zalała mi serce. Zerwałam się z krzesła, uciekłam do drugiego pokoju i wybuchnęłam długo tłumionym, gwałtownym płaczem. Pani Długolecka przybiegła za mną bardzo zaniepokojona:

— Co to jest? co się stało? — pytała z trwogą, biorąc moje ręce i tuląc mnie do siebie.

A ja podniosłam na nią twarz pełną rozpaczey i spytałam wśród łkań:

— Czy pan Karol na zawsze wyjechał?

Nie roześmiała się, nie uśmiechnęła nawet. Patrzyła na mnie swym rozumnym, jasnym wzrokiem, w którym była jakaś troska, i rzekła powoli:

— Nie, ja myślę, że wróci. Księżę ordynat Maurycy urządza szpital u siebie w dobrach i wezwał Jaworskiego dla organizacyi. Chce go zatrzymać tam na stałe i oddać mu kierownictwo, ale ja wątpię, aby Jaworski przyjął. To nie dla niego. Za młody jest i za inteligentny, ażeby się już teraz zagrzebywać na wsi.

Zamyśliła się, wciąż patrząc na mnie, i po chwili dodała z naciskiem:

— Zresztą ja napiszę do niego, żeby wracał.

XII.

— Proszę pani, a jak Pan Bóg chodzi ubrany w niebie?

— Ma złociste suknie, Anielko, takie, jakich nie posiada największy król na ziemi.

— A co robią w niebie aniołki?

— Śpiewają Panu Bogu i służą Mu.

— A jak grzeczne dziecko umiera i idzie do nieba, czy staje się aniołkiem?

— Tak, Anielciu.

— To jak ja umrę, będę też aniołkiem. Czy Pan Bóg da mi skrzydełka i czy będą białe, czy może takie, jak u naszego szczygła, z czerwonymi piórkami?

Chora dziecina wznosiła na mnie swoje duże, podkrążone, smutne oczy, a mnie gardło zacisnęło wzruszenie. Dziwne było u niej to przeczucie śmierci i te pytania zawsze na tle przyszłego życia. Skazana była nieodwołalnie, wiedziałam o tem od doktorów i ona też wiedziała, choć nikt jej o tem nie mówił.

— Proszę pani, ja umiem swoją lekcję! — oznajmiła mi Karolcia, najzwawsza i najsilniejsza z gromadki.

— I ja też umiem, proszę pani!

Obstąpiły mnie wokoło i zaczęły mówić je-

dna przez drugą prędko, prędko, cienkimi głoskami.

Siedziałam w czystym, słonecznym pokoju w przytułku dla nieuleczalnych dzieci. w oddziale dziewczynek. Otaczała mnie cała ich gromadka, ubrana jednakowo w granatowe sukienki i białe fartuszki. Wszystkie miały twarzyczki blade i wynędzniałe, ale oczy u niektórych świeciły życiem, pojętnością i nawet porywami wesołości. Od miesiąca przychodziłam do nich dla uczenia ich katechizmu i innych elementarnych rzeczy. Biedactwa pokochały mnie, a ja przyłągnęłam całym sercem do tych istotek wydziedziczonych ze wszystkiego na samym wstępie życia. Obcowanie z nimi robiło mi dużo dobrego, było szkołą cierpliwości i poddania się. Między nimi mniej odczuwałam smutek własny.

Z najmłodszą dziewczynką na kolanach, przesłuchiwałam kolejno lekcyi katechizmu. Przez okna wpadały wesoło promienie marcowego słońca. Gdy dzieci umilkły, słychać było szmer kropli spadających z dachu i zawzięty świergot wróbli. Można było myśleć, że się jest na wsi. Ulica była ustronna i okna wychodziły na podwórze, żaden turkot nie mącił ciszy...

Lada dzień miałam wyjechać z Warszawy. Otrzymywałam z domu listy naglące; skorzystałam dużo przez zimę, przypuszczałam, że potrafię jako tako dać sobie radę na wsi, potrzeba było jechać.

W serce moje stopniowo wstępowała rezygnacya. Przeżyłam piękny sen i rozwiął się jako sen. Pieścić go w pamięci będę i żyć tem wspomnieniem. Byłam szczęśliwą przez kilka tygodni—wszak i to coś znaczy na życiowej szali; wymagać za wiele nie można.

Skończyłam lekcycę i siedziałam na krześle u okna. Słońce wpadało przez nie całą falą i grzało wskroś szyb z wiosenną siłą. Ogarnęło mnie jakieś rozleni-

wienie, nie chciało mi się z miejsca ruszyć, nie myślałam o niczem świadomie, dobrze mi było w ciepłe słonecznych promieni. Na zegarze wybiła wolno godzina trzecia.

— Zbierajcie się, dzieci—powiedziała panna Helena, dozorczyńni—zaraz doktor przyjdzie.

Furtka od dziedzińca skrzypnęła, ktoś przeszedł koło okna. Dziwna rzecz, jak ja zawsze i wszędzie jego widzę! Zdawało mi się, że to jego chód, jego smukła i wyniosła postać.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek; był to doktor.

Ucałowałam dzieci i szłam ku drzwiom, gdy się naraz otworzyły i w progu stanął—on!

Nie wiem jak mogłam wyglądać w tej chwili i co się na mej twarzy malowało, wiem tylko, że stanęła jak wryta i że krew cała zbiegła mi do serca. Chciałam coś powiedzieć, ale głos mi nie przeszedł przez usta. On długą chwilę patrzył na mnie uważnie i badawczo, potem ciepłym i serdecznym ruchem ujął moją rękę.

— A pani zawsze i niezmordowanie przy pracy!—powiedział z tym uśmiechem, który tak głęboko miałam w pamięci.

Nie mogłam się zdobyć na słówko odpowiedzi.

Natomiast obskoczyły go dzieci, wołając radośnie:

— Nasz pan doktor wrócił!

Karol pochylił się do dziewczynek i zaczął je witać, nazywając każdą po imieniu. Ja tymczasem przychodziłam do siebie. Radość ogromną falą zaczęła mi napływać do serca, rozszerzając je, rwąc w górę uniesieniem... Wrócił!... Ale czy na długo, czy na zawsze?...

Wątpliwość ta mrozem wionęła na moją radość...

— Czy pan na stałe wrócił do Warszawy? — spytałam głosem trochę drżącym.

Wyprostował się, spojrzął na mnie, uśmiechnął się szczerze, wesoło i odpowiedział:

— O! tak! pożegnałem już ordynata. Szpital funkcyonuje; posadziłem tam jednego ze swych kolegów, będę czasem dojeżdżał, ale zostanę na stałe tu.

Jakie to szczęście, że nie wysłałam dotąd listu o konie! Wyjeżdżać teraz! to dopiero byłaby rozpacz! Ach! jeszcze trochę szczęścia! jeszcze trochę pożyć w tym świecie zaczarowanym, który znów staje się rzeczywistością!... Niech w domu robią, co chcą! nie wrócę teraz!...

— Czy p. Długołęcka nie mówiła pani o moim powrocie? — spytał Karol. — Korespondowałem z nią i wiedziała, że wracam. Teraz idę właśnie od niej.

— Nic mi nie mówiła—odrzekłam.

Z panią Długołęcką nie rozmawiałam wcale o Karolu od czasu owego wybuchu łez. Czułam, że mnie odgadła, i dziwny wstyd zamykał mi usta. Nie spytałam jej nawet ani razu, czy pisała do niego z radą, aby powracał. Uważałam tylko, że od owego czasu była dla mnie serdeczniejsza, bardziej macierzyńska. Gdy wychodziła od niej poprzedniego wieczoru, spytała mnie, czy będę w przytulku o zwykłej godzinie, poczem wzięła mnie za obie ręce, uśmiechnęła się trochę filuternie i pocałowała w czoło. Musiała już wtedy wiedzieć, że on wrócił i chciała mi zrobić niespodziankę.

— Dziś jeszcze nie będę dzieci osłuchiwał— powiedział Karol dozorczyńni. — Za dwa dni zastąpię dra Bilewicza i będę znów przychodził jak dawniej. Mam polecenie od p. Długołęckiej—dodał, zwracając się do mnie;—mam panią do niej przyprowadzić, bo odbywa się tam sesya, na której nie obejdą się bez pani.

Włożyłam okrycie, kapelusz i wyszliśmy razem. Ulice były zalane słońcem, niebo szafirowe i uśmie-

chnięte, z ogrodów zalatywał jakiś zapach wilgotnej ziemi i topniejącego śniegu, surowy, ale przypominający wiosnę. U ramion miałam skrzydła; uśmiechałam się bezwiednie, wszystkim napotkanym przechodniom życzyłam z głębi serca dużo dobrych rzeczy. Kochałam świat cały.

— Możebyśmy przeszli przez Saski Ogród— zaproponował Karol — będzie trochę dalej, ale jest tak przyjemnie.

W ogrodzie drzewa za każdym powiewem sypały na ziemię duże, błyszczące krople wody. Postrojone dzieciaki szły różnym krokiem obok bon, przebierając różkami, odzianymi w białe kamaszki, i rzucając figlarne, trochę lekliwe, a trochę zaczepne spojrzenia z głębin białych kapturków. Myśmy szli w milczeniu czas jakiś. Czułam na sobie wzrok Karola, jakiś uważny, badawczy, którego nie znałam dotąd. Nie śmiałam oczu podnieść. Intuicyjnie odczuwałam, że jest inny dla mnie, niż zwykle. Naraz jak błysk nagły uderzyła mnie myśl, że mu p. Długofęcka mówiła o mnie! Stałam cała w ogniu.

— Co pani jest?— spytał natychmiast.

Nie odpowiedziałam nic, tylko przycisnęłam mufkę do twarzy. Szliśmy dalej w milczeniu; rzeczy tajemnicze, niedopowiedziane zaczęły snuć się między nami, łącząc nas misterną, niewidzialną nicią. Pierwsze słowo, które miało paść, nie mogło być banalne. Czułam to i serce tak mi zaczęło drzeć, że doświadczałam fizycznego bólu, oddechu złapać nie mogłam... On zaczął mówić z wielką prostotą:

— Przyjazd mój sprawił pani radość, widziałem to i jestem bardzo szczęśliwy. Taki sam jestem na świecie, a w ostatnich czasach taki się czułem duchowo samotny w Zazierzu, że każdy objaw serca cenię na wagę złota. Cóż dopiero, gdy pochodzi od takiej kobiety jak pani, która tyle odczuć i zrozumieć potrafi i tyle serca wkłada w każdą dobrą sprawę...

Tu nachylił się ku mnie i spytał prosto i poważnie:

— Wszak się nie łudzę, wszak pani ma dla mnie trochę przyjaźni?

Podniosłam na niego oczy bez słowa. Ta niema odpowiedź wystarczyła mu widocznie, bo mówił dalej głosem cichszym i mniej pewnym:

— Jeżeli pani chce, to pójdziemy razem przez życie z jednakiem ukochaniem i ku jednakiemu celom, ręka w rękę i serce przy sercu. Chce pani?...

Czy ja chcę?...

...Niebo śmiało się świetlistym szafirem; w powietrzu, pachnącem daleką wiosną, drgał pył złocisty, z drzew spadały brylantowe krople...

Na świecie był cud i raj!...

XIV.

Wielkanoc w tym roku wypadła późno, wtedy już, gdy wiosna na dobre rozgościła się na świecie. Cieszyłam się z tego, bo chciałam, aby narzeczonemu memu, który miał przybyć na święta, Trocicze okazały się w najpiękniejszej szacie. Pierwszy raz w życiu urządzenie święconego tak mnie zajmowało; pragnęłam, aby wszystko było bez zarzutu, strojne, smaczne. Nie wychodziłam z kuchni, piekłam, lukrowałam, przybierałam. Ciocia gderała nieustannie za tę moją gorliwość, a szczególnie za to, że osmieliłam się naruszyć niektóre odwieczne tradycje trocickie; lecz byłam głucha na wszystko.

Nadeszła Wielka Sobota, dzień jego przyjazdu, przyjazdu mojego pana, mojego narzeczonego. Powtarzałam po sto razy te słowa, pieszcząc się ich dźwiękiem. Opanowała mnie odrazu gorączka: jak on się podoba mojej rodzinie? co powie o nim ojciec mój, który miał w głębi duszy starszylacheckie uprzedzenie do doktorów i do ludzi fachowych? A znów jak się jemu wszystko wyda, jemu, który o tak głuchej prowincyi i pojęcia nie ma? Byłam bardzo szczęśliwa i zarazem bardzo niespokojna. Krzątałam się gorączkowo, bo też roboty dnia tego było dużo: trzeba było święcone rozdać czeladzi, stół przybrać i ustawić, jajka ufarbować. Liczyłam, że Karol powinien przyjechać z kolei o godz. 6-ej i chciałam, aby na

tę porę wszystko było gotowe, a ja sama wystrojona, wyświeżona, jak wypadało w tę chwilę godową. Klęcząc na ziemi, przybierałam obrus stołu festonami z widłaków, gdy przez drzwi gwałtownie pchnięte, wpadły do pokoju: szeroka smuga słońca, dźwięk nucej piosenki i Zosia.

— Ciociu, proszę mnie admirować w amazonce! Udało się Clémentine, trzeba jej przyznać!

Stała przedemną smukła i giętka w obcisłej, ciemno-zielonej amazonce, z kaszkieciem na jasnej główce, ze szpicrutą w rękę, trochę dziecko, trochę kobieta, trochę psotny chochlik, subtelna, dziwna i śliczna. Patrzyłam na nią, patrzyłam, nie mogłam oczu oderwać i myślałam sobie: „Co w niej stanowi ten odrębny, nieuchwytny urok?” Głośno zaś powiedziałam:

— Co się stało z tobą, Zosiu, przez tę jedną zimę! Nie mogę się jeszcze z tem oswoić; zostawiłam podlotka, zastałam pannę! To już nie zmiana, ale metamorfoza kompletna! Czy ty pamiętasz, jaka ja byłam w twoim wieku? Niezgrabna, chuda, z długimi czerwonymi rękami, wiecznie zaplątana w swojej pierwszej długiej sukni! Ty wyglądasz tak, jak gdybyś się urodziła odrazu dorosłą, strojną panną!

Zosia śmiała się swoim perełkowatym śmiechem, odrobinę drwiącym.

— A ciocia chce koniecznie tę dorosłą pannę wpakować na pensję i to jeszcze do klasztoru! Ładna robotka! Nie, moja ciociu, z Jazłowca stanowczo nie będzie! Ryga albo Warszawa, to i owszem, dlaczegoż nie? Wszak ciocia w Warszawie znalazła sobie męża!

— Przecie nie przypuszczasz, że po to jeździłam...

— No, jedno przy drugim... Co to szkodzi? Tak ma ciocia zwykownego warszawiaka, a inaczej dostałaby sobie hreczkosieja, Poleszuka.

— Jeżeli sobie wyobrażasz, że Karol jest szy-

kownym warszawiakiem, to się rozczarujesz. Nosi płaszcz niemodnego fasonu, nie używa cylindra i pamiętam u niego coś ze dwie zmiany krawatów tylko.

— No, proszę? To dlatego pewnie, że doktor Ale przystojny jest, ciociu, prawda?

— Jesto najwznioślejszy, najidealniejszy, najrozumniejszy człowiek, jakiego znam, to przedewszystkiem, Zosiu. Ma serce czyste, jak łąza, i duszę poety... Jest wyższy ponad nas wszystkich...

— Jakie ciocia ma oczy teraz! Jak rozmodłone! Ale ja tobym nie chciała takiej doskonałości na mężal

— Życzę ci jednak takiego z całej duszy, Zochno... A tymczasem, nim to nastąpi, siądź tu obok mnie i pomóż trochę...

— O! dziękuję, cioteczko! Na to mam teraz wakacje, żeby nie pracować. A zresztą, kazałam konia osiodłać, pojedę z Maksymem, muszę amazonkę wypróbować.

Ujęła w rękę fałdy sukni, poprawiła kaszkiecik przed lustrem i poszła, śpiewając i w takt wymachując szpicrutą. Mnie zaś ciocia wezwała do rozdawania święconego.

W dużej izbie w oficynie, stały improwizowane stoły, białe deski na kozłach, niecki pełne mięsiwa, kosze z jajami farbowanemi, stosy serów i pieczywa. Zapach gorącego ciasta i gotowanej wędliny unosił się w powietrzu, mile łechcąc podniebienie, przywykłe do postnych potraw. W izbie zjawiali się wzywani kolejno oficjaliści, a ciocia i ja oddawałyśmy każdemu przeznaczoną mu część. Obladowani gastronomicznemi skarbami całowali nas po rękach z niezmiennem życzeniem:

— Daj Boże za rok doczekać!

Za rok! Gdzie ja za rok będę? Przy jego boku, jego na wieki!... Która to godzina? Jużby się ubrać trzeba i może wyjść trochę na spotkanie. Trze-

ba jeszcze fiołków zbierać i we wszystkich pokojach ustawić, aby dom cały zapachem wypełnić. Wybiegłam do ogrodu. Tonął w słońcu; kąpała się w blasku młodziutka, aksamitna, jasna murawa, zieleniejącym puszkciem pokryte krzewy, pławiły się w niem żwawe, żółte cytrynki, pszczoły brzęczące na fiołkach i gwiazdzistych śniedkach, ptaki, radosnym chórem bijące w niebo. Za ogrodem, na rzeczce, tańczyły złote łuski, bocian dobitnie klekotał ze swego gniazda nad wodą, a z folwarcznego podwórza dochodziło jasne i metaliczne pianie kogutów. Z szerokich pól i rozłogów leciał wiatr silny, ale ciepły jak pieśczo-ta, istny wiatr wiosenny, mącący rozkosznie myśli, niosący jakieś powiewy radości, jakieś obietnice, szumiący wesolo i zwycięzko. Jakże świat był piękny! jak mnie na nim dobrze!... Wyciągnęłam w przestrzeń ramiona; zdawało mi się, że uleczę na skrzydłach, że się uniosę w lazurową przestrzeń... Ach! żyć! żyć!... czując miłość w sercu, młodość w każdej krwi kropelce, wiosnę naokoło siebie!...

Za parkanem na drodze rozległ się nagle śmiech Zosi. Drgnęłam: przeszył mnie jakąś ostrą nutą. Zaraz też i kopyta końskie zatętniły głucho. Spojrzałam: Zosia jechała stępa, rozmawiając z kimś, co jechał obok. To nie Maksym? Może Kazio? I nie on!... Zwrócił twarz w moją stronę,..—Karol!...—krzyknęłam i pobiegłam do furtki. Narazie opanowała mnie tylko ogromna radość, że oto już jest. Nie zastanawiałam się nad tem, dlaczego jedzie konno z Zosią, nie pomyślałam o swoim stroju od roboty, o płóciennym fartuchu i włosach roztarganych... leciałam jak na skrzydłach i dopiero gdy wypadłam na drogę, gdy mnie mogli już zobaczyć, stanęłam, nagle onieśmielona. Zosia pierwsza mnie spostrzegła i zawołała:

— Ciocia!

Karol zatrzymał konia, zsiadł i szedł ku mnie. Nie ruszyłam się z miejsca: przypomniał mi się mój

strój zaniedbany i ogarnęło mnie zawstydzenie. Zauważyłam też odrazu, że Karol jest nieswój. Pocałował mnie w rękę i powiedział:

— Niefortunny mam przyjazd! Zacząłem od przygody!

Spotrzełam wtedy, że jest zabłocony powyżej kolan.

— Co się stało?— spytałam niespokojnie.

Zosia zaczęła się śmiać, jak waryatka.

— Niech ciocia sobie wyobrazi, że ja pana wyratowałam z błotnej kąpielil!... To rzeczywiście szczególny traf! Jadę sobie z Maksymem, wyjeżdżam za las, patrzę, aż na Żalińskiej grobli leży para koni w błocie po łopatki, bryka pocztowa zagrzęzła po osie, pocztylion stoi nad końmi i drapie się w głowę, a pan na drodze tonie i tonie coraz głębiej!... Ach! powiadam cioci, co to był za widok!

Wybuchnęła znów śmiechem. Karol uśmiechnął się z przymusem, a ja szybko dokończyłam za nią:

— I Maksym dał panu swego konia, a sam został do pomocy pocztylionowi. Takie wypadki często się u nas na wiosnę zdarzają. Pocztylion nie wiedział, że Żalińską groblę lepiej objechać. Biedny pan Karol. Poznał pan na wstępie przyjemności dróg naszych!

— Ach! ciociu! ale tu nie koniec historii! Proszę sobie wyobrazić, że pan nie umie konno jeździć! Pierwszy raz spotykam mężczyznę, któryby tego nie umiał!... Spadł z konia!... cha! cha! cha! doprawdy spadł!...

Karol poczerwieniał, a ja powiedziałam ostro:

— W uniwersytetach, ani w klinikach nie uczą konno jeździć, mogę cię zapewnić. Przestań śmiać się, bo w tem nic zabawnego niema, i jedź po ludzi, żeby zabrali konia tego i żeby jechali na pomoc pocztylionowi!

Nigdy jeszcze takim tonem nie przemawiałam do synowicy. Nie wiele sobie z tego robiąc, zacięła konie

i popędziła, wciąż się śmiejąc. Spojrzałam na mojego pana: patrzył za nią z wyrazem upokorzenia i doznanej przykrości.

— Pani mi zawsze opowiadała o synowicy, jako dziecku, przecie to panna dorosła—powiedział.

— Zosia jest rozpieszczonem dzieckiem, które udaje dorosłą—odrzekłam, coraz więcej zła na nią, że mi tak zepsuła chwile powitania. Mniejsza o nią! Więc mam już nareszcie swojego pana u siebie!.. Tak czekałam!..

Podałam mu obie ręce, patrząc nań wzrokiem, w którym była cała moja dusza. Poniósł je do ust i rozjaśnił się.

— Jak to słodko być serdecznie witany!—szepnął.

— Chodźmy do ojca, panie Karolu!..

I pociągnęłam go za sobą.

XV.

Nazajutrz wczesnym, cudnym rankiem, pełnym słońca i rosy, jechaliśmy do kościoła, położonego o dwie mile. Ciocię i ojca Maksym wioził w staroświeckim koczobryku, na żółto pomalowanym; Zosia Karola i mnie w tilbury.

Jechaliśmy wśród nieskończonych pól, zieleniejących młodziutką runią; nad nami skowronki zanosiły się radosnym śpiewem, jak drobne kulki leciały wyżej i wyżej, aż rozplywały się gdzieś w błękitcie. Mijały nas szlacheckie bryczuszki i gromadki piesze, postrojone, dążące także do kościoła.

— Ile tu powietrza, ile przestrzeni, ile słońca! — mówił Karol, rozglądając się wokoło. — Ależ to step istny! tylko że step uprawny. Nigdzie pagórka, któryby zamykał widnokrąg! wszędzie równa linia horyzontu, stykająca się z nieboskłonem! Jak tu smutno być musi w jesieni, gdy te pola nagie i szare, a niebo ołowiane!

— Ale jak ładnie latem, gdy pola zamieniają się w ruchliwe morze kłosów! Stoi taki niezmierny, zielony łąn żyta: przeleci lada wiaterek i wnet srebrna, połyskliwa fala przepływa przez łąn cały, taka miękka, taka szeleszcząca!... A co za różnorodność barw i bogactwo odcieni! Srebrny jęczmień, złocista pszenica, len błękitny, gryka biało-różowa, konieczyna

pasowa, żółty rzepak, zielone proso, wszystko to tworzy szachownicę, miłą oku, a drogą sercu każdego rolnika! Pan nie ma pojęcia, jak można ten senny, cichy kraj ukochać!...

— Pan woli swoją Warszawę i ma rację! — wtrąciła Zosia.—Jabym też wolała w miejscu tej szachownicy cioci magazyny, ulice, pałace, ogrody i eleganckich przechodniów, zamiast tych w siermiędzel! Opłaciłaby się fatyga wyjść, ustroić się!

— Powozić tak ładnie i odważnie jak pani! Zarazby się znaleźli admiratorowie, a teraz tylko skowronki panią podziwiają!...

— A pan?

— O! i ja, naturalnie!...

— Ciekawa jestem, jak też pan powozi? Czy tak samo jak konno jeździ?

— Niech mnie pani wypróbuje.

— Źle, źle! Któż tak lejce trzyma! Doprawdy, że mały Staś lepiej potrafi! Ej! co to z pana za mężczyzna!...

— Zosiul

— Zdyskredytowałem się w oczach pani na wieki!...

— A bo i pewno! Żeby mi się mężczyzna podobał, musi być silny, odważny, nawet zuchwały! Niech najdzikszego konia dosiada, niech najbardziej rozhukane będą mu posłuszne, niech mu żaden sport nie będzie obcy, niech mu żadna zwierzyna nie umknie na polowaniu... Pan to pewno i strzelać nie umie?

— Z rewolweru tylko.

— Tak... albo z floweru do świecy. To już ja więcej potrafię.

— Przyznaję, że moja edukacya sportowa była bardzo zaniedbaną. Może pani zechce się nią zająć? Oddaję się w pani ręce na czas mego pobytu w Trocicach.

— Ba! po co, skoro pan i tak podoba się cioci Józii

— Panią to zdaje się dziwić?

— Cokolwiek.

Obróciła głowę i spojrzała bokiem nań z pod rzęs, z drwiącym uśmieszkiem.

— Boże! — pomyślałam z rozpaczą — jaki zły duch ją opętał! Takbym chciała, aby Karol pokochał moją rodzinę, a ten dzieciak wszystko robi, aby go zrazić. Jaki on wydaje się podrażniony! Ma widocznie dużo miłości własnej, a Zosia, jak na złość, ciągle ją rani!

— Słuchaj—rzekłam do niej gniewnie, gdyśmy szły przez dziedziniec kościelny—czy ty myślisz, że Karol to Kazio, że można go tak samo musztrować?

— Czemu nie?—odpowiedziała spokojnie.—Wszyscy mężczyźni są jednakowi.

Weszłam do kościoła wzburzona i spora chwila upłynęła, zanim się uspokoiłam. Dopiero gdy ksiądz ruszył z procesją, a z tysiąca piersi wybuchnęła radosna pieśń: „Wesoły nam dziś dzień nastał!” gdy kościółek wraz z zebranym ludem zdawał się w górę unosić, porwany pobożnem uniesieniem, padłam na kolana, a łzy szczęścia i wdzięczności polały mi się z oczu. Dziękowałam za siebie, błagałam dla niego.

Skończyło się nabożeństwo i wszyscy wylegli przed kościół, witając się i składając sobie życzenia.

Ojciec zapraszał wszystkich na święcone, ja z dumą przedstawiałam sąsiadom Karola. Pan Adam, Dzierzewiczowie, młody sąsiad z Kosina, Ludwikowie Szyrminowie i ksiądz proboszcz, pojechali z nami.

Myślałam w duchu, patrząc na swych sąsiadów: „Jaki mój Karol różny od nich! Jaki subtelny, jaki uduchowiony! Jeden pan Adam potrafi się poznać na nim! Ciekawam jego zdania, muszę ich z sobą zbliżyć.”

Z powrotem Dzierzewiczowie zabrali Zosię, a Ludwikowa zajęła jej miejsce w tilbury. Wdzięcząc się i strojąc minki swoim zwyczajem, elegantka na-

szej okolicy zaczęła dopytywać Karola o warszawianki, które były dla niej niedościgłym wzorem, i o Warszawę, do której wdychała zawsze, jak do raję.

Nie lubiłam nigdy pani Ludwikowej, raziła mnie jej przesada, jej szczebiotliwość podlotka, wtedy gdy syn jej chodził już w uczniowskiej bluzce; męczyła mnie przytem jej płytkość i gadatliwość. Obawiałam się ciągle, że znuży Karola, to też zdziwiłam się mocno, gdy po przyjeździe powiedział do mnie:

— To bardzo miła kobieta, ta pani Szyrminal
Jaka rozmowna!

Ksiądz pokropił święconą wodą stół Wielkanocny i zabraliśmy się do spożywania darów Bożych. Karol dziwił się, jak dziecko, głowie dzika, ogromnym głuszcem i cietrzewiom, aż Zosia znów drzwi zaczęła, przybrawszy sobie Kazia do pomocy. Zła i zniecierpliwiona, musiałam tego zdaleka słuchać, bo absorbowały mnie zajęcia gospodyni domu. Pan Michał Rajewicz „z wąsiskami jak miotły,” ofiarował mi swą pomoc z całą ciężką galanterią wiejskiego dżentelmana. Krajał olbrzymie porceye szynki i indyka, robił wyłomy w babach i tortach i obnosił między gośćmi obładowane talerze.

Pan January, który z uznaniem kiwał na to głową, szepnął mi do ucha tubalnym swym głosem:

— A nie trzeba było aż warszawiaka brać za męża! I tuby się znalazł swój, blisko, a jaki chwyt chłopiecl...

Obejrzałam się z przestraszonym, bo chociaż to miało być powiedziane cicho, byłam pewna, że pół sali słyszało.

Po święconem ojciec, ciocia, proboszcz, p. January i Szyrma zasiedli do zielonego stolika, ja zabawiałam panie, Zosia z p. Michałem i z Kaziem poszła oglądać konie, a p. Adam rozmawiał z Karolem, przechadzając się z nim po salonie. Rada byłam z tego obrotu rzeczy. Jednem uchem słuchając opo-

wieści pani Januarowej, śledziłam wzrokiem tych dwóch ludzi, których stawiałam tak wysoko, którzy byli dla mnie wcieleniem dobra, prawdy, rozumu, podniosłości ducha. Gdybyż się oni zrozumieli i zaprzyjaźnili!

— Ależ pani zakochana w narzeczonym! Nie spuszcza go pani z oczu!—zaszczebiotała Szyrmina.

Zarumieniłam się powyżej uszu. Miałam pewną drażliwość co do swych uczuć i nie lubiłam, gdy niepowołane oko wglądało w te drogie dla mnie tajniki duszy.

— Nie dziwię się pani, panno Józiu. Pani narzeczony jest bardzo przystojny. Ma piękną postawę, ładny uśmiech, jest bardzo interesujący! Daję słowo!

Przystojny, interesujący! Że też ludzie tylko to chcą w nim widzieć! Niechby sobie mój Karol był brzydki. Kochałabym go tak samo, tak jak on mnie kocha, pomimo mego braku urody!

— Szkoda tylko, że doktor!—powiedziała pani Januarowa.—Dla obywatelskiej córki niema jak obywatel!

— O! panna Józia może go przecie wziąć do Trociczi! Będzie sobie gospodarzył.

— Jakże, kiedy o gospodarstwie pojęcia wcale niema.

— Nauczy się. Albo to taka trudna rzecz?!

Wstrętne mi były te dysertacye. Z westchnieniem ulgi oddałam powracającego p. Michała na pastwę Szyrminy, a sama zbliżyłam się do p. Adama, który już skończył rozmowę z Karolem.

— I cóż pan powie?—spytałam go z mimowolną dumą w uśmiechu i spojrzeniu.

Zrozumiał odrazu, o co mi chodziło.

— Człowiek inteligentny i bardzo dobrej woli, ale ogromnie niewyrobiony życiowo i, jak przypuszczam, słabej woli.

— To też ja na siebie chętnie przyjmę wszelkie

ciężary; będę mu je z drogi usuwała, aby mu lotu nie tamować.

Spojrzał na mnie z jakimś głębokim wyrazem w oczach.

— Czy on należycie ocenia tę wielką miłość pani?— spytał cicho, jakby do siebie.

— Czy ją ocenia? Niech pan zapyta, czy ja zasługuję na jego miłość? Za co on mnie wybrał? Nieraz zadaję sobie to pytanie w wielkiej ducha pokorze. Tyle jest lepszych, rozumniejszych i ach! pięknych na świecie!... On nie szukał urody, nie szukał świetności, chciał duszy, któraby go rozumiała i z nim czuła—tylko tyle, a czy już to samo nie świadczy o jego wartości?... czy pan dużo znajdzie mężczyzn, którzyby w ten sposób zapatrywali się na przyszłe towarzyski życia?

— W tem ma pani rację, takich mężczyzn jest mało; zato na tej większości lekkomyślnej w wybrze fakta i życie mszczą się nieraz okrutnie. A pamięta pani naszą rozmowę zeszłego lata, gdy pani tak głęboko zwątpiła o możebności szczęścia dla siebie?

— A pan mi powiedział, że przecie może się znaleźć mężczyzna, który duszę potrafi ukochać!... O! zapamiętałam te słowa! Słyszałam je później powtórzone z ust Karola i takim mnie szczęściem przejęły!... Pomyślałam wtedy o panu i powiedziałam sobie: „Miał rację, jak zwykle!” Ile ja już w życiu panu zawdzięczam! Gdyby nie pan, nie pojechałabym do Warszawy i nie poznała Karola? Gdyby nie pan, do tej pory stałabym się zdziwaczką, zwichniętą moralnie...

— Ale ja stanę się zazdrosny, panno Józefo— zabrzmiał za nami głos Karola.— Takie długie apartel! A gdyby pan wiedział z jakim entuzjazmem mówiono mi o panu w Warszawie?!...

— Mógłbym zupełnie to samo powiedzieć o panu!— uśmiechnął się p. Adam.— Pan był właśnie przed-

miotem naszej rozmowy; starałem się rozczarować narzeczoną pana, ale nadaremno!

Karol spojrział na mnie z wyrazem wdzięczności w swoich siwych, marzycielskich oczach; ja mu w odpowiedzi całą duszę, tę jego wyłączną własność, przesłałam w spojrzeniu, a pan Adam odszedł sobie cicho...

XVI.

— Doprawdy, że dumny jestem ze swej uczeni-
nicy!—mówił Karol, skończywszy przegląd chorych,
których mu przyprowadziłam.—Wszędzie prawie środki
bardzo trafnie zastosowane, a co za ład w tej aptecz-
cel aż miło spojrzeć! W nocy możnaby tu trafić
do każdej rzeczy! No! no! nie straciła pani czasu
w Warszawie!

W duchu pomyślałam: „Miłość była moją mi-
strzynią!” ale głośno rzekłam tylko:

— Miałam sporą dozę dobrej woli!

— Dusza pani ogromnie łatwo reaguje na każdą
myśl szlachetną; jest tak wrażliwa na dobro, jak in-
ne na pobudki miłości własnej, ambicyi, egoizmu.
Jedno słowo rozumne i zacne wyda w duszy pani
plon stokrotny... To mi idealna towarzyszka życia
dla człowieka idei!..

Zarumieniłam się powyżej uszu, a nigdy rumie-
niec nie był połączony z tak rozkosznem uczuciem
szczęśliwej dumy. Mój Karol! Takie uznanie z jego
ust! I na coby mi się zdała uroda całego świata,
wdzięki, świetności wszystkie razem wzięte! Alboż
onby kochał mnie wtedy szlachetniej i w sposób
bardziej podniosły, niż teraz! O! jakże byłam płytka,
dziecinna, gdym nie wierzyła w możebność szczęścia
i miłości dla siebie! Wszak na świecie jest sprawie-

dliwość, i więcej, niż sprawiedliwość: na świecie jest raj...

Podniosłam oczy na tego ukochanego ponad wszystko; chciałam czytać w jego wzroku tę miłość, która dźwięczała w słowach, chciałam się nią upoić, zapamiętać w szczęściu!... Nie patrzył na mnie: spojrzenie jego biegło gdzieś w dal, a ściągnięte brwi mówiły o jakiejś myśli ciężkiej, czy niewesołej. Zauważyłam wtedy, że jest jakiś mizerny, że oczy jego noszą ślady bezsenności...

W jednej chwili serce ścisnęło mi się trwogą...

— Co panu jest? pan jakiś smutny... panie Karolu!...

Drgnął, jakby zbudzony ze snu.

— Ależ gdzie tam, zdaje się pani, jestem zupełnie wesół!...

— Panie Karolu!... panie Karolu!...

Głos Zosi za oknem kilka razy rzucił to imię, modulując tony w tempie walcowem. Karol podbiegł do okna...

— Jestem na rozkazy!—zawołał.

Musiał dostrzedz Zosię, bo się uśmiechnął. Ja tymczasem patrzyłam na niego i myślałam:

— Jaki on ma wyjątkowo ładny, wyrazisty uśmiech!

Rzeczywiście wyglądało to tak, jak gdyby na jego twarz, zwykle zamysłoną, z góry padał promień słońca. Rozjaśniały mu się wpierw oczy, potem promień szedł aż do ust i rozchyłał je jasnym, szczerym uśmiechem, który na patrzącego działał zaraźliwie.

Z okna padł cień; stanęła w niem Zosia w stroju od konnej jazdy i przechyliła się do wnętrza pokoju.

— Ach! Boże! przerywam jakieś lekarskie konsylium! Fi! co za zapach jodoformu! Cóż, czy pan gotów na swoją lekcję? Jadę na Ilmie, dla pana kazałam osiodłać Eleganta, bo to czysty baranek, pewno pana nie poniesie!...

— Nie poniósłby mnie już teraz i Druh, ręczę pani!

— No, no, proszę nie brawować! Pan się załedwie zaczyna rozumieć na zażywaniu konia! Zresztą proszę mnie słuchać ślepo, bo inaczej przestanę pana uczyć i umyвам ręce od wszystkiego...

— Niechże Bóg broni! Co za straszna groźba!...

— A tak! ja wcale nie żartuję!...

— Niby to z ciebie taka mistrzyni konnego sportu!—powiedziałam śmiejąc się.

— A cóż ciocia myśli? Niewiele jeździłam wprawdzie, ale ja urodziłam się już sportsmenką i wszystkie sporty umiałam już w kołysce! Proszę patrzeć jak ja tańczę, jak łyżwuję, jak powożę! a jakbym grała w tenisa, gdybym go miała! Urządzę go sobie na przyszłe lato! Z panem już wtedy grać nie będę, bo pan będzie żonaty, ale wyuczę sobie Kazia i p. Michała.

— Dlaczegoż pani nie będzie chciała grać z żonaty?

— Bo żonaci robią się strasznie nudni i pan też takim będzie. Ale chodźmy już wreszcie, bo konie się niecierpliwia.

— Proszę pamiętać, że dziś po obiedzie jedziemy do Powalina i nie marudzić!—powiedziałam.

— Będziemy pamiętali. Szkoda, że pani konno nie jeździ!

— O! to nie dla mnie! Zbyt wielki jestem tchórz co do koni!

Wysłałam za niemi na ganek. Zosia postawiła nóżkę na rękę Karola i lekko wskoczyła na siodło. Ilma, zniecierpliwiona stanem, dała susa, poczem stanęła dęba. Karol i ja krzyknęliśmy, Maksim podbiegł do konia.

— Siodło się chwieje!—zawołała Zosia.

Maksym chwycił Ilmę za uzdę, a Karol podbiegł do Zosi. Wziął ją na ręce i zsadził z konia.

— No, nic się złego nie stało! Czegoż pan drży i czego pan zbladł? Boże! co za nerwowość! Maksymie, popręgi były za słabe! mówię zawsze, żeby na ostatnią dziurkę spinać. Popraw zaraz!

— Zosiu, ty już więcej nie pojedziesz, bój się Boga!

— To dobre, dlaczego? Byle siodło było należyte umocowane, to nie się stać nie może. Ilma pójdzie spokojnie, jak dziecko. No, cóż, panie Karolu, czy się pan znów obawia?

— O panią, tak.

— To zupełnie zbyteczne, zaraz pana o tem przekonam. Zresztą, cóż to za troskliwość? Nie jestem przecie dla pana ciocią Józią?

— Nie pleć, Zosiu — powiedziała surowo, widząc, że Karol zaciął zębami wargę i spochmurniał;— mówisz i zachowujesz się chwilami, jak niesforne, rozpieszczone dziecko.

Zosia nie odpowiedziała nic, spojrzała na mnie, potem na Karola oczami, w których zamigotały jakieś zielone blaski, uśmiechnęła się i wskoczyła na siodło. Popędziła z miejsca, nie oglądając się na towarzysza; Karol pognął za nią.

— Chyba Karol pomoże mi ją przerobić później—myślałam sobie, wracając do domu.—On taki rozumny i tak pełny spokoju i taktu. Byleby tylko jej zaufanie pozyskał! Zdaje mi się, że zaczyna go oceniać, polubiła go, szuka jego towarzystwa. Może mieć na nią doskonały wpływ.

Czas zbiegł mi wśród rozlicznych zajęć aż do obiadu. Podawano do stołu, gdy przed gankiem za tętniły kopyta końskie. Wyszłam na spotkanie powracających. Karol zsadzał właśnie Zosię z siodła. Zauważyłam odrazu, że jest chmurny, blady i że ma w oczach jakiś inny wyraz, niż zwykle. Spojrzałam z kolei na nią. Miała na twarzy dołeczki, a w oczach te same zielone błyski, które zauważyłam, przytem.

prawdopodobnie od szybkiego ruchu, była mocno różowa.

— Musiała mu znów dokuczyć! — pomyślałam z gniewem.

Gdy się znalazła sama z Karolem, spytałam go wprost o to.

Zarumienił się, jak panienka.

— Ach, nie! Czemżeby mnie panna Zofia mogła dokuczyć?

— Czy ja wiem? Ona to czasem potrafi. Myśmy ją tak rozpieścili!

— Nie znajduję tego! Nie jest rozpieszczona, ale tylko silnie indywidualna i ma swoją wolę.

— To dobrze, żem się pomyliła, ale zdawało mi się, że pan jest podrażniony...

— Nie, nic mi nie jest, źle spałem dziś w nocy, oto wszystko.

Pomimo tego zapewnienia, nie mogłam go rozruszać. Przy obiedzie siedział milczący, nie patrząc na nikogo; Zosia, wbrew zwyczajowi, mało się też odzywała, ojciec tylko, który był w wybornem usposobieniu, opowiadał anegdotki myśliwskie. Ciocia spoglądała kolejno po nas chmurnym i bystrym wzrokiem.

Po obiedzie pojechaliśmy do Powalina.

Dzień był tak słoneczny, tak pełny wiosennej radości i upojenia, że mnie opanowała wesołość. Na pola wylegli ludzie z pługami i bronami, lemieszce połyskiwały w słońcu, ciemne skiby spływały po nich równym ruchem, tuż w ślad za pługami postępowały wrony w żałobnych swych sukienkach. Nawoływania oraczy daleko się hiosły po szerokiej, wolnej przestrzeni. Na łąkach jasno szmaragdowych, jaśniejących plamami złocistych majówek, kobiety słały płótna. Pąsowe ich chustki i spódnice zdaleka uderzały wrzask jaskrawym kolorytem. Ponad tem wszystkim unosiły się skowronki w takiej ilości, tak niezmordowane w śpiewie, że cała przestrzeń od ziemi do świetliste-

go błękitu, zdawała się drgać od ich srebrzystych głosików.

Zosia rozszczebiotała się nagle, wpadła w wesoły nastrój, zaczęła nucić walce i Karol ożywił się też powoli. Jechaliśmy, gwarząc we troje w najlepszej harmonii, która mnie radością przejmowała; nasza mała była tak miłą i słodką, że miałam ochotę ją uściskać; chmurne oczy Karola odzyskały swój uśmiech, wszystko było jak najlepiej, a świat naokoło nas był cudnie piękny i szczęśliwy! We mnie dusza się śmiała.

— Ciekawa jestem—powiedziałam, przejeżdżając niedaleko Stawiszcz—czy i tym razem Kazio nas wysledzi? Ma zawsze dar przeczuwania, kiedy jedziemy do Powalina i spotyka nas wtedy konno.

Zosia zaczęła się śmiać głośno.

— To rzeczywiście wielka sztuka, kiedy ja mu zawsze wprzód naznaczam dzień i godzinę przejazdu!...

— Pocóż to pani potrzebne?—spytał Karol.

— Lubię, gdy ktoś konno towarzyszy powozowi, szczególnie, gdy jeździ tak dobrze, jak Kazio.

— Dzieciak z ciebie — powiedziałam w obawie, aby Karol nie posadził jej o kokieterię.

— Jednak u pani stanowczo najpierwszą zaletą mężczyzny jest ta, że dobrze jeździ konno—powiedział Karol z goryczą.

— Było tak, lecz nie jest teraz—odpowiedziała z taką śliczną miną, że aż Karol się uśmiechnął, a ja ją ucałowałam.

Za nami rozległ się tętent kopyt.

— A co, już jest!—zawołała Zosia.

Istotnie Kazio doganiał nas na spienionym koniu i, przywitawszy się, jechał obok powozu.

— Spędziłem dziś całą noc w lesie, w budce—opowiadał z ożywieniem — cietrzewie tokowały, zabiłem dwa.

— W Rudaszowskim lesie?—spytała Zosia z zajęciem.

— Tak. Noc była śliczna, ale ranek zato chłodny, brr...

— Ależ pan mógł się febry nabawić—powiedział Karol.

— Gdzie tam! Całą noc paliły się ogniska. Do jednego cietrzewia podszedłem tak blisko, jak ztąd do powozu. Ledwo świt, już zaczęły tokować.

— A my jutro z panem Karolem pójdziemy na ciąg słomek.

— Taki był pyszny ciąg zeszłego wtorku, a pani nie chciała iść ze mną...

— Z panem nie chciałam, a z panem Karolem pójdę...

— Dlaczegoż to?—spytał Kazio, ściągając konia, który się wspiał.

— Bo tak mi się podoba—odpowiedziała Zosia, a przekorne doleczki, które zaczynały mnie przestraszać nie na żarty, ukazały się na jej buzi.

— To taka pani wdzięczność? A kto panią strzelać uczył? a kto flintę wybierał?—mówił Kazio wzburzony.

— I cóż z tego? Teraz strzelać umiem, flintę mam i pana już nie potrzebuję.

Kaziowi oczy się paliły, chciał coś powiedzieć, ale się wstrzymał i rzucił tylko z niewymowną goryczą:

— Prawdziwa z pani kobieta!

Wybuchnęłam śmiechem na takie oskarżenie. Nikt mi jednak nie wtórował. Karol uważnie patrzył na Zosię, a ona miała jakąś zaciętą minkę.

Nie zwracając już uwagi na Kazia, zaczęła rozmawiać z Karolem. Żał mi się zrobiło biednego chłopca, zagadywałam go o różne kwestye, lecz odpowiadał zaledwie monosylabami.

W Powalinie zastaliśmy całą rodzinę na werendzie ogrodowej. Pani Adamowa, która po ostatniej

chorobie nie mogła przyjść do siebie, leżała na sześlongu w miejscu najbardziej słonecznym; mąż i córka siedzieli przy niej.

W maju cała rodzina miała się udać do Gleichenbergu dla przeprowadzenia kuracyi pani Celiny. Powiedział to nam pan Adam, który właśnie przed paru dniami zebrał konsylium lekarskie dla powzięcia decyzji. Był nieco weselszy, bo lekarze uspokoili go co do stanu zdrowia żony.

Zajęliśmy wszyscy miejsca naokoło sześlongu pani Celiny.

— Moznaby pomyśleć, że to dwie pary narzeczonych, a nie jedna — powiedziała chora, wskazując z uśmiechem na naszą gromadkę.

Kazio pokraśniał, jak mak, a Zosia spojrzała na niego z pod oka.

— W każdym razie ta druga narzeczona bardzo słabo zakochana — powiedziała rezolutnie, potrząsając główką.

— Czemuż to, panno Zosiu?— spytał pan Adam, który miał słabość do niej i lubił się z nią przekomarzać.— Nie umiemy się kochać?

— O, nie to! Ja potrafię się zakochać, niech pan będzie spokojny! ale nigdy w kimś, kogo znam od dziecka!

— To nowa teoria. I czemuż to tak?

— Gdy patrzę na pana Kazia, to zawsze go widzę oczyma pamięci w wyplamionej uczniowskiej bluzce, z dzikiem spojrzeniem, długimi rękoma i kogutami w głosie. Ach, jakież był śmieszny!

I Zosia pokładała się od śmiechu.

— Biedny Kazio! przyszła na niego chwila niełaski. A tak niedawno była harmonia... Kapryśna z pani kobietka, panno Zosiu!

— Nowe sitko na kołku— mruknął Kazio, który zagryzał zawzięcie małego wąsika.

— Pan mi obiecał pokazać urządzenia swoje higieniczne i sanitarne— powiedział Karol, którego ta

rozmowa musiała znudzić, bo powstał z jakimś niecierpliwym ruchem.

— Z przyjemnością, służę panu.

Poszli, a z nimi Zosia, uczepiwszy się bez ce remonii ramienia pana Adama. Ja wzięłam na kolana Milę, która mnie bardzo kochała i nie odstępowała na krok; zabawiałam p. Celinę. Kazio tłukł się po ogrodowych ścieżkach, jak Marek po piekle i mścił się na kwiatach, ścinając je szpicrutą.

— Niech mi pani opowie całą historję swojej miłości—westchnęła p. Celina; to mnie młodość moja przypomni.

— Nasza historia bardzo prosta—powiedziałam wesoło.—Tło jej nie było poetyczne; rozwijała się na tle ambulatoryum, w atmosferze przesiąkniętej jodoforem.

— Prawda, że to dziwne i niezwykle. Ale gdzie się pani oświadczył? przecież nie w szpitalu?

— O! nie, pod gołem niebem, wśród drzew, bo idąc ze mną przez ogród Saski.

— Ach, to nawet uklęknąć nie mógł! Adam tyle razy klęczał przedemną.

— Nie wyobrażam sobie Karola klęczącego.

— Jakto, ani razu? Co za dziwna młodzież teraz. Adam kiedyś całował ślad mojej stopy.

— O, to wcale do Karola niepodobne!

Zamyśliłam się. Dlaczego go sobie nie mogę wyobrazić w takiej roli? Nasz stosunek jest jakiś inny: nie klęczy przedemną, nie wycałowuje mnie po rękach, nie nazywa dziwaczkami a słodkimi nazwy, nie wpatruje się w moje oczy. Czy to dlatego, że kocha mnie miłością szlachetniejszą, duchową? Pewnie, a jednak tamto wszystko musi być tak miłe, tak rozkoszne.

Po dobrej chwili wrócili nasi panowie z Zosią. Prowadzili jakąś dysputę z wielkiem zainteresowaniem. Gdy weszli na werendę, Karol zwiastował mi, że jest zachwycony tem, co oglądał; napisze o tem

artykuł w „Chwili” dla przykładu. Tylu ludzi twierdzi, że na wsi, zwłaszcza w tych stronach, niema pola działania...

— Ach, Boże!—zawołała Zosia—dość już o tem, znudziło mnie to wszystko. Proszę już dać pokój tym poważnym rzeczom. Ja teraz pokażę coś panu, panie Karolu, Blacka, mojego faworyta. Zobaczy pan, że to więcej zajmujące, umie różne sztuki.

Zbiegła z ganku, a za nią poszedł Karol, śmiejąc się.

— Panie Kazimierzu, pozwalam panu towarzyszyć nam!—wołała Zosia zdaleka.

— Mocnom obowiązany za pozwolenie—odpowiedział ponuro, oddalając się w przeciwną stronę.

Zosia zaczęła się śmiać i coś żywo opowiadać Karolowi.

Pan Adam patrzył za nimi dopóki nie znikli, spojrział potem na sylwetkę Kazia, niknącą wśród drzew ogrodu i powiedział:

— Ten biedny chłopiec nie na żarty zakochany w Zosi.

— I ja nabieram tego przekonania, chociaż nie chciało mi się wierzyć z początku. Czyż można się kochać w takim dziecku, jak Zochna?

Pan Adam spojrział na maie i powiedział poważnie:

— Niech pani będzie przekonana, że można. Zosia pod niektórymi względami jest dojrzałą kobietą. Ma moc wrodzonej kokieteryi i dziwny intuicyjny dar postępowania z mężczyznami. Leżało to już w jej naturze i wychowanie mogło to chyba stłumić na czas jakiś, ale nigdy wykorzeńić!

— Mój Boże, gdybyż ona tego daru na złe nie użyła.

— Bodajbym się mylił, ale sędzę, że łatwiej jej przyjdzie w późniejszym życiu unieszczęśliwić wielu, niż uszczęśliwić jednego. Jest to rodzaj kobiety, która mężczyzn uważa za niewolników, lub jako za-

bawki, i może właśnie wskutek tego przez dziwną psychologiczną ironię będzie miała u swych stóp tych, których zechce...

— Jakże pan ją surowo sądzi — powiedziałam przerażona. — Trzebaby koniecznie przeciwdziałać tej naturze niebezpiecznej. I wie pan, że ja ogromnie liczę na Karola w tym wypadku. Zdaje mi się, że zaczyna go uznawać i marzę o tem, aby nad nią wpływ pozyskał.

W miejsce odpowiedzi spytał mnie nagle:

— Czy narzeczony pani długo jeszcze zabawi w Trociczach?

— Przyjechał wogóle na dni dziesięć, bawi już tydzień, ale na szczęście, nie wspomina jeszcze o wyjeździe.

— A kiedy ślub?

— W jesieni, gdyż wtedy Karol dostanie stałą i korzystną posadę.

— A cóż ojciec i ciotka? czy się pogodzili z tem, że to nie obywatel i nie Litwin?

— Ojciec tak mnie kocha, że nigdy nie miał serca sprzeciwić się mej woli, zwłaszcza tak wyraźnej, jak w tym wypadku, Uspokoilo go znacznie to, że Karol jest szlachcicem i ani blagierem, ani „wygadany Warszawiankiem.” Zdaje mi się, że go bardzo polubił.

— A ciotka?

— Ciocia wogóle ogromnie sobie życzy, żebym wyszła za mąż. O Karolu powiedziała: „At, jakiś to ni z pierza, ni z mięsa, ale kiedy ci się taki podobna, to ruszaj!” I machnęła ręką.

Zaczęliśmy się śmiać oboje.

Wracaliśmy do domu wśród różowego, przejrzystego zmięzchu, jaki bywa tylko w kwietniu. Łąki i stawy rozspiewały się ogromnym chórem żab, bąk zdaleka rzucał na tło tego chóru swą urwaną, basową nutę, podobną do głuchego jęku. Pola stały nieme, zasluchane; tylko chwilami od rozgrzanej dzien-

nym skwarem ziemi bił gorący, wonny powiew, jak westchnienie rozkoszy.

Tajemniczy urok tej wiosennej nocy ogarnął mnie zupełnie; milczałam, bo żadne słowo nie potrafiłoby oddać tego, co przepełniało mą duszę. Patrzyłam tylko na Karola, siedzącego naprzeciw mnie i odczuwałam w nim te same myśli, te same wrażenia. Milczał także i rozmarzonym wzrokiem wodził po polach, nad którymi zaczynała wstawać biała, lekka mgła.

Zosia siedziała tak cichutko, że myślałam, iż śpi. Spojrzałam więc na nią; oczy miała szeroko otwarte, wśród zmroku błyszczały, jak dwie gwiazdy.

XVI.

..Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć..
I taką, jak ty, mieć moją na ziemi!

Przymknęłam oczy, opuściłam robotę na kolana i słuchałam. Nie wyobrażałam sobie nigdy, aby poe-
zye Słowackiego, które przecie nad wszystko w świe-
cie lubiłam, tyle w sobie mogły piękności zawierać.
Bo też jak je Karol czytał! Ile uczucia, ile duszy
drgało w każdym słowie! Zamknęłam oczy, bo mnie
olśniła myśl, że to miłość dla mnie nadaje te dźwię-
ki, tę barwę jego głosowi. On słowami poematu wła-
sną duszę opowiadał. Stałam nad przepaścią szczę-
ścia, tak zawrotną, że się bałam w nią spojrzeć, stra-
szyła mnie i pociągała, jak otchłań. Serce miałam
wezbrane, bałam się poruszyć, aby nie spłoszyć cza-
ru tej jedynej chwili...

Karol odetchnął głęboko, wyprostował się i po-
łożył książkę.

Nastąpiła cisza; słaby wietrzyk poruszył firankę
u okna i do pokoju wionął zapachem czeremchy.

— Niech pani zagra co Schumanna—prosił Ka-
rol głosem cichym i zmęczonym.

Siadłam do fortepianu jakby na pół we śnie.
Nie wiem dlaczego z pod moich palców wypłynęły
tak niestosowne w nastroju do tej chwili: *Les adieux*

Schumanna. Z początku grałam w pół świadomie, powoli przejmująca melancholia utworu zaczęła mnie przenikać, zrobiło mi się nagle smutno na duszy, fortepian jęczał i rozpaczał pod mojami palcami. Rozkołysała mnie melodia; po *Abschied* przyszło *Träumerei*, potem moje ukochane *Warum?* które umiałam grać bez końca coraz z innym nastrojem. Sama dziwiłam się dlaczego dziś właśnie tak smutno tony płyną mi z pod palców. Spojrzałam na Karola i wstałam w pół taktu. Stał u okna, czoło opierał o ramę i patrzył w dal, usta miał do krwi pogryzione, brwi zsunięte, a na twarzy wyraz męki. Zerwałam się, drżąc jak listek, położyłam mu rękę na ramieniu i zająrzałam w oczy.

— Karolu!...

Drgnął, spojrzał oczyma, w których szklily się łzy, wziął moją rękę, potem drugą i w milczeniu patrzył na mnie. Nie rozumiałam, nie umiałam określić jego wzroku, a z tych oczu, we mnie utkwionych, taki smutek przenikał aż do głębin mej duszy, że pierś podniosła mi się łkaniem.

Do pokoju wpadła Zosia, wprost do fortepianu. Karol puścił moją rękę i odsunął się natychmiast. Patrzyłam wciąż na niego strwożona, usiłując odgadnąć, co mu było. Zła byłam na Zosię za jej wtargnięcie i za jej walce, które wygrywała z jakimś zapamiętaniem.

— Co dziś jest mojemu panu? co mu dolega?— pytałam cichutko, serdecznie.

— Nic... absolutnie. Jestem wrażliwy na muzykę i to Schumann tak mnie rozstroił... może też trochę Słowacki. Nerwy...

Uśmiechnął się z przymusem.

Wtem Zosia zawołała:

— Ciociu, proszę zagrać „Wenecję,” zatańczymy z panem Karolem walczyka.

— Pan Karol nie ma najmniejszej ochoty do tańca.

— Doprawdy? Nie chcę pan zatańczyć walczyka ze mną?

— Owszem, skoro pani tego życzy.

— Ależ, panie Karolu, po co ją tak psuć? Jej się zaraz nie wiedzieć czego zechce.

Karol uśmiechnął się w miejsce odpowiedzi.

— Niech nam pani zagra—prosił.

Zaczęli tańczyć... jeden tur, dwa, trzy, dziesięć... Z początku patrzyłam na nich z przyjemnością, bo Zosia tańczyła ślicznie, a we dwoje tworzyli ładny dla oka obrazek: wkrótce jednak przydłużony ten walc zaczął mnie dziwić; w końcu niecierpliwie. Czy oni nie przestaną nigdy? Przerwałam granie... Stanęli. Zosia zdyszana upadła na krzesło, Karol zatoczył się, jak pijany. Oparł głowę o drzwi i oddychał ciężko; był blady, a czoło miał okryte potem.

— Co za szaleństwo tak tańczyć! I to doktor, poważny człowiek? Nie podejrzewałam u pana takiego zamiłowania do walca! Zosiu, jak ty wyglądasz?!

W czasie tańca osunęło się upięcie jej włosów i groziło rozsypaniem na ramiona złotych splotów. Nastąpiło to, gdy dotknęłam paru szpilek, chcąc poprawić uczesanie. Zosia uciekła, okryta bogatym płaszczem włosów, jak siecią z promieni.

Karol otarł czoło i stanął w otwartym oknie, wpadała przez nie świeżość i woń ziemi, zroszonej wiosennym deszczem. Ja usiadłam znów do fotopianu i przygrywałam zcicha.

Po chwili Karol zwrócił się do mnie:

— Muszę jutro jechać—powiedział cicho.

Jęknęła przeciągle struna, szarpnięta przezemnie w mimowolnym ruchu.

— Jutro? już? — pytałam, patrząc na niego oczyma pełnemi łez. — Dlaczego taki nagły projekt?

— Muszę koniecznie—powiedział z jakimś twar-

u niego.—Wszak na kolej trzeba jechać bardzo rano, prawda? Jutro już pań nie zobaczę!

— O, ja wstanę w każdym razie, panie Karolu! I kiedyż pan znów przyjedzie?

— Znów? Nic nie wiem, chyba nieprędko.

— Nieprędko?...

— Tyle teraz będę miał zajęcia.

— A będzie pan myślał często... o Trociczach?

— Ach!—powiedział z jakimś jękiem, z głębi serca wyrwanym.

Odwrócił się znów do okna i czoło oparł na dłoni. Ta nierówność jego usposobienia zaczęła i mo-
jemi nerwami szarpać. Dolega mu coś widocznie, tai się z tem przedemną, nie ma zaufania. I ja się za-
tnę w milczeniu i badać go więcej nie będę.

Na herbatę przyjechał Kazio. Karol i ja milcze-
liśmy zawzięcie, Zosia przekomarzała się z Kaziem, ojciec palił fajkę w zupełnym spokoju ducha, a cio-
cia nalewała herbatę, gderząc na Józefa, lokaja.

— Tańczyliśmy dziś z panem Karolem walca przez dobry kwadrans, nie przestając wcale. Może turów ze trzydzieści, bez przesady. Niech pan zapy-
ta ciocię Józię...—opowiadała Zosia.

— Pani grała wtedy do tańca? — spytał Kazio z gniewnem i ironicznem spojrzaniem.

— Ja sama—odrzekłam podrażniona.—Czy masz co przeciwko temu?

— Ja, nie, naturalnie, skoro to wszystkich za-
dowoliło.

— To jednak bardzo szczęśliwie — powiedział ostro Karol i oczy pociemniały mu gniewem.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia, którą prze-
rwał głos cioci Jadwisi:

— Co za licho opętało was młodych od kilku dni? Wyglądacie wszyscy jak pół bziki. Jedna Jó-
zia była spokojna, a dziś i ona jest niezupełnie przy-
tomna.

Roześmieliśmy się, lecz śmiech ten u żadnego z nas nie brzmiał szczerze. Ojciec puścił kłęb dymu z fajki i powiedział:

— At! zwyczajnie młodzi! Awanturują się, sami nie wiedzą czego! Za dobrze im już, nie wiedzą, co wymyśleć!

Milczeliśmy wszyscy; atmosfera była ciężka, a zarazem naelektryzowana, jak przed burzą. Ja w duszy miałam żal do Karola, gnębiła mnie myśl o jego jutrzejszym odjeździe i jednocześnie zła byłam na Kazia i Zosię. Poco ta para dzieciaków nieustannie wchodziła nam w drogę! Doprawdy, lepiej nam było z Karolem w Warszawie; nigdy cień żaden nie padł tam na nasze czoła.

— Poproszę szanownego pana o konie na jutro rano — powiedział Karol, zwracając się do ojca.

— A na cóż to, mój dobrodzieju, i dokąd?

— Do stacyi pocztowej. Jutro muszę wyjechać!

Serce mi się ścisnęło, gdy postyszałam tę prośbę, przewidywaną przecie. Ciocia mruknęła coś pod nosem, co przypominało: „Chwała Bogu!” Kaziowi oczy zabłyśły, a Zosia zaczerwieniła się cała i spytała:

— Pan jedzie?!

Skinął głową w milczeniu. Zosia dopiła duszkiem resztę herbaty i wstała od stołu, nie spojrzawszy na nikogo. Za nią wyszedł Karol, a po chwili Kazio. Ja przysunęłam fotel ojca do kominka, dorzuciłam nań drewek, przytuliłam się do ojca na chwilę, co zwykłam czynić, gdy mi ciężko było na duszy, i wyszłam na poszukiwanie Karola. Liczone już były chwile, które mieliśmy spędzić razem. Słońce miało się ku zachodowi, a jabym chciała je zatrzymać, jak ongi Jozue.

Karola nigdzie nie było w domu. Wyszłam na ogrodową werandę, gdy nagle na ścieżce ukazał się Kazio. Biegł predko, ciężko oddychał i wyglądał dzi-

wnie; był bardzo blady, a oczy mu gorzały. Dopadł mnie i chwycił za rękę,

— Pani do tego doprowadziła swoją tolerancję, to pani wina — mówił gwałtownie przez zaciśnięte zęby — niech pani teraz idzie i patrzy.

Ciągnął mnie za sobą, a ja biegłam, porwana jakąś szaloną, niejasną trwogą.

Na zakręcie lipowej alei Kazio stanął i mocno ścisnął mi rękę. I wtedy zobaczyłam...

Na ławeczce siedziała Zosia, zanosząc się od płaczu; przed nią klęczał Karol. Trzymał obie jej ręce w swoich, całował, tulił do swej twarzy i powtarzał wciąż w kółko, jak człowiek nieprzytomny: „Nie płacz, Zosieńko! nie płacz, jedyna!... Nie pojedę, nie, nie pojedę!... Zosieńko!...”

Naokoło mnie zrobiło się nagle ciemno i pusto, a ta ciemność i ta próżnia zaczęły wirować szalonym pędem, niosąc mnie z sobą... Szarpnięto mnie silnie za rękę i przed sobą zobaczyłam przerażone oczy Kazia, drzewo, zmierzchające niebo, aleję... Ach!... Kazio coś mówił, nie słyszałam, ciągnął mnie za rękę; nie poruszyłam się; oparłam głowę, która stała się nagle bardzo ciężką, o pień drzewa i patrzyłam w jeden punkt, na ławkę... O! ten, co klęczy, to Karol, mój Karol, a tam siedzi Zochna, moja pieścizna, moje dziecko... Czemu to tak trudno zrozumieć? to on!... Karol bierze jej rękę, oplata niemi szyję, podnosi ku niej twarz, nie widzę dobrze twarzy, bo już ciemno w alei, i szepcze... Słyszę co mówi, choć mówi tak cicho... „Więc to prawda?... ty mnie kochasz?...”

.

W alei ciemno, potem czarno... Nikogo niema, poszli i Kazio poszedł... Cicho... Ale ją ciągle słyszę: „Więc to prawda? Ty mnie kochasz?” a potem: „Panie Karolu, ja się boję!... Tam ktoś jest! Chodź-

my!...” I kroki, najprzód wyraźne, potem dalsze, dalsze!... dalekie!...

Coś mnie musnęło cicho... Nietoperz... Coś je-
knęło, to bąk na łące za ogrodem... Żaby śpiewają...
Jakoś zimno...

— Józiu! Jó-ó-ziu!... Panienkil...

Wołają, chodzą... Trzeba iść, nogi poruszają
się jak nieswoje... Okna domu błyszczą, aż oczy ra-
żą... Idę po stopniach ganku powoli... Drzwi od sa-
lonu otwarte, salon oświetlony... Na kanapce ktoś
siedzi z głową ukrytą w dłoniach... Wstaje nagle,
idzie ku mnie... On!

Wyciągnęłam ręce przed siebie, jakby dla obro-
ny, cofnęłam się i w tył upadłam bez czucia...

XVII.

Leżałam na ziemi, utopiona w gęstwinie traw wysokich. Nademną kołysały się połyskliwe gałązki miętliczki, rozłożyste niby drzewa baldaszki; rumianki i stokrocie patrzyły szeroko rozwartą źrenicą, mięta i dzięcielina pachniały słodko, przygrzane słońcem. Od czasu do czasu motyl dotykał w przelocie łodygi kwiatu, która się chwiała czas jakiś; potem znów nastawał spokój, a boże krówki spacerowały wolno po żdźbłach traw, tworząc czerwone punkty na jasnym tle zieleni przepojonej słońcem. Nademną bardzo wysoko stała nieruchoma kopuła z szafirowego kryształu; niżej ku krańcom, tam, gdzie szafir stawał się mlecznym i przybierał turkusowe tony, wędrowały obłoki lekkie, białe, jakby światłem wewnątrz wypełnione.

Słodka, szczęściem przepojona cisza czerwcowego popołudnia... święto łąk w kwiecie, kłoszących się niw, szerokich przestrzeni pod niebem pełnym promieni i gorącego blasku... Drzewa już przekwitły, młodociany jasny ton znikł z murawy, ustały miłosne pienia ptaszków, teraz gniazda pełne piskląt, gorliwa praca czas rodzicielski pochłania. Zbliża się lato znojne, pracowite. silne, gorące... Leżę wśród traw, w słońcu i myślę... Tak mi schodzą dni całe; wegetuję jak roślina, wciągając w siebie pulsujące nokoło potężne życie i to mnie ratuje, leczy... Rozmowy, nawet widoku ludzi znieść nie mogę, rażą mnie

ludzkie głosy i wysiłek muszę zrobić, aby zrozumieć czego odemnie chcą.

Z początku przez parę tygodni leżałam zamknięta w swym pokoju, przy szczelnie zapuszczonych storach. Wówczas nie znosiłam nawet blasku słońca, instynktownie pragnęłam zupełnego spokoju, ciszy, ciemności... Najlepiej mi było, gdy naokoło panował sen i noc czarna, leżeć z głową wciśniętą w poduszkę.. Nie myślałam wtenczas świadomie: czułam tylko jakiś głuchy, nieustanny ból w każdym atomie mojego jestestwa. Przy sobie znosiłam tylko ciocię Jadwisię; ta pochmurna, gderliwa, szorstka staruszka umiała znaleźć dla mnie skarby słodyczy i delikatności. Nie męczyła mnie nigdy, instynktem odczuwała, coby mogło mnie urazić lub ból sprawić i starannie odsuwała to odemnie.

Do mojego pokoju nie dochodził żaden odgłos z reszty domu; cały świat zapadł się, jakby po za ścianami mego schronienia; nie wiedziałam o nikim. Po mojem zemdleńiu Karol stał podobno całą noc pod memi drzwiami, błagając o chwilę posłuchania, lecz odmawiałam wciąż z jakimś konwulsyjnym strachem. Nazajutrz przyszedł ojciec do mego łóżka, unosząc się i wymyślając Karolowi; zemdlałam wówczas poraz drugi i odtąd ojciec osmielał się tylko czasem głowę wsunąć do mego pokoju i spojrzeć na mnie zdaleka; ciocia i jego nie dopuszczała.

Leżałam więc sama po dniach całych i powoli myśli przybite, zgłuszone, rozproszone ciosem, zaczynały się znów skupiać, zbierać, pamiętać... Cierpiałam wtedy najsilniej, znalazły się i łzy i umiałam płakać po całych nocach... Dwie myśli prześladowały mnie nieustannie, chorobliwie jak zmory; jedną było widzenie dziwnie dokładne: Karol klęczy przed Zosią i patrzy na nią tym wzrokiem, o jakim marzyłam miesiącami, tym, którego nadaremnie oczekiwałam dla siebie. Drugą myślą było zdumienie, że to nie kto inny, tylko właśnie oni, te dwie tak ukocha-

ne istoty, zadali mi ten śmiertelny cios... Mój Karol i moja Zosia!... tak zdradziecko!...

Zamykałam się uparcie w swym pokoju, bo chwycił mnie strach na samą myśl o spotkaniu się z Zosią. Maj daremnie słał mi w okno wonie, promienie i śpiewy, byłam na wszystko głucha i obojętna. Serce moje odebrało śmiertelną ranę, przez którą cała krew i życie wyciekło..

Pewnego dnia ciocia kręciła się po mym pokoju, niby coś porządkując, wreszcie rzekła nagle i burkliwie:

— Zosia na całe wakacje pojechała do ciotki w Oszmiańskie. Bilewiczowa dawno się o to dopomina, niech Zosia pozna rodzinę matki.

Spojrzalam na nią z wdzięcznością. Jak ona mnie rozumiała! Na ustach miałam jedno pytanie, ale ból i wstyd hamował mi mowę; wreszcie wyjąkałam:

— Kto wam powiedział?

— A on sam; wleciał do brata jak szalony, oskarżył się sam i płakał i rozpaczał. Brat strasznie się uniósł i wypowiedział mu dom. Na to przyszła ta smarkata i oświadczyła, że za innego nie pójdzie; brat i ją dobrze skrzyczał...

Jak przez mgłę w zmęczonym mózgu zarysowało mi się pojęcie, że mam jeszcze jedno zadanie do spełnienia. Lecz za mało miałam sił, odłożyłam to na później. Zamknęłam oczy i nie pytałam już o nic.

Nazajutrz opuściłam swój pokój i wyszłam do ogrodu; bzy kwitły, słowiki śpiewały. Położyłam się na szalu w pełnym słońcu i leżałam tak parę godzin. Odtąd dni upływały mi w ogrodzie, w jakimś samotnym i odległym zakątku. Kołysały się nademną trawy, bujały łątki i motyle, ośmielone moją nieruchomością; świegotały zięby, brzęczały pszczoły. Ja leżałam i myślałam wciąż o jednym: cóż mnie wię-

cej – mogło zajmować na świecie po za tem jednym, któremu na imię było ból?

Więc jednak na prawdę w uczuciu mężczyzny dla kobiety istnieją tylko zmysły? i nawet u tak podniosłego duchem, u takiego idealisty, jak on?... Więc jednak na nie mi w drodze do szczęścia dusza rozbudzona, serce gorące, umysł wrażliwy, skoro na nerwach grać nie potrafię!... I po co mi dane te dary, skoro jestem brzydka?!... Nie mam praw do szczęścia i ono tylko mem własnem udręczeniem się staje! Ja powinnam nie czuć, nie myśleć, nie pragnąć, być biernym przedmiotem, kołysanym na fali losu w błogiej drzemce ducha! I po co waleczyć, skoro od kolebki ciąży już paryasowe znamię kobiece, brzydota. I któż zatroszczy się o moją duszę, gdy widzi moją twarz, i komu ona potrzebna? Każdy ma własną i nie tego szuka w kobiecie. A jednak, jak oni dziwnie łudzą się sami, jak oszukują siebie! „Ja w żonie szukam towarzyszki, duszy, któraby mnie rozumiała!...” Biedny Karol! jak mu los ironicznie odkrył prawdę!... Nie rozumiał siebie, teraz chyba wie... A może on dziś w siebie wmawia, że w Zosi pokochał duszę?... Zosia i on! To jednak żart losu! Jaki między nimi węzeł?... Ach! i jakąż ona mu będzie żoną?...

Leżałam na ziemi w gęstwi traw, w cudne popołudnie końca czerwca, gdy odszukała mnie ciotka i w milczeniu podała list. Wzięłam go niechętnie; co kto odemnie może chcieć? Przez chwilę chciałam rzucić nieczytany, ale poznałam pismo p. Adama i zagraniczną markę. List był krótki i pisany w nerwowym pośpiechu, który nawet pismo czynił niełatwym do odcyfrowania.

„Celina miała zapalenie opłucnej i rozwijają się suchoty. Do kraju nie wrócimy. Mila rozpacza za swemi książkami i zabawkami; mówi, że pani wie, o jakie jej chodzi. Niech mi pani odda tę usługę

i wysłał je z Powalina pod naszym adresem. Głowa mi pęka. Ocalić Celinę nie jest w ludzkiej mocy, boję się o Milę strasznie. Lekarze radzą ją oddzielić. lecz powierzyć jej nie mam komu”.

Przeczytałam i wstałam na równe nogi. Ten list, tragiczny w swym lakonizmie, targnął mnie za serce; w jednej chwili zbudziłam się do życia i do czynu. Poszłam spiesźnie do swego pokoju, wzięłam pióro i pisałam bez namysłu; apatya moja znikła odrazu:

„Jeżeli w panu wzbudzam choć trochę wiary, proszę mi odwieźć Milę. Przysięgam, że będę jej strzegła, jak źrenicy oka, będzie moją jedyną troską i jedyną myślą. Zostać przy państwu nie może, pan się zadreczy obawą o nią, a jest fizyczną niemożliwością rozdzielić czas i staranie między nią a chorą. Rozumiem, że Mila to skarb bez ceny dla pana i nie zapomnę o tem ani przez jedną sekundę”.

Oba listy zaniiosłam do ojca. Włożył okulary, przeczytał, popatrzył na mnie, raptem przycisnął moją głowę do piersi i powiedział głosem przerywanym:

— Dobrze, zajmij się, czem chcesz, tylko nie milcz tak i nie chowaj się po kątach.

Ogarnęło mnie głębokie zawstydzenie. Jakaż ze mnie była egoistka! Biedny ojciec, aż zmizerniał z niepokoju o mnie. Wszystkie uczucia wstawały z letargu, wstrząśnięte listem pana Adama. Pocałowałam ojca gorąco, serdecznie, czego nie czyniłam od tak dawna, a chcąc odrazu skończyć i zrzucić z serca kwestyę, dawno na niem leżącą, prosiłam cicho:

— Ojcze, pozwól Zosi poślubić Karola!
Żachnął się gniewnie i oczy mu błysnęły.

— Nie puszczę go na próg mego domu!...
 Nauczę gagatka, jak szlacheckie gniazdo szanować!
 Z jedną zaręcza się, drugą bałamuci... Ja mu pokażę!...

— Ojczy, daj Zosię Karolowi!

— Powiedziałem, że nie dam! Kpin stroić nie
 pozwolę!

— Ojczy, ja bardzo proszę!...

Stałam przed nim, patrząc smutnie i błagalnie,
 a musiałam być bardzo blada, bo niepokój odmalo-
 wał się na twarzy ojca, przyciągnął mnie do siebie
 i powiedział:

— No, no, tylko nie mdlej znów! Zobaczymy!
 zobaczymy! Zosia to smarkata i nie o mężu jej my-
 śleć teraz! Tak za lat dwa, to nie mówię, jeśli to
 samo mi powtórz!

Ucałowałam jego siwą głowę i poszłam znów
 do swego biurka; chciałam korzystać z tego przypty-
 wu energii, czy podniecenia nerwów, bo bałam się,
 aby mi potem nie zbrakło siły. Pośpiesznie bez na-
 myśłu pisałam:

„Tyle u ojca otrzymałam, że jeśli oboje wy-
 trwacie przez lat dwa w swem uczuciu, to weźmie je
 pod uwagę. Wasze szczęście jest więc kwestyą tylko
 waszej stałości”.

Wzięłam kopertę, lecz gdy przyszło na niej wy-
 pisać to ukochane imię, którego każda litera zdawała
 się mieć dla mnie czar nieuchwytny, dusza się we
 mnie rozelkała. Nie mogłam jeszcze. List schowa-
 łam do szufladki i płakałam długo rozpacznie.

Nigdy już nie będę miała prawa powiedzieć
 o nim „mój Karol” Obcy dla mnie, a ja obca dla
 niego, na zawsze! Inna ma jego serce w kapryśnej
 dziecinnej dłoni, i co z nim zrobi?... „Prędzej wielu

unieszczęśliwi, niż uszczęśliwi jednego!...” Wspomnienie tych słów przejmowało mnie mrozem.

Od pana Adama otrzymałam odpowiedź w dni kilka:

„Wierzę i z serca dziękuję. Sam odwiozę Mię. Celuni stan bez zmiany”.

XVIII.

Stał przedemną z twarzą pociemniałą, z oczami nawpół przykrytymi i z szerszym pasem siwizny na skroni, zresztą spokojny, jak zawsze. Patrzyłam na niego i dwa sznurki łez, których nie myślałam powstrzymywać, biegły mi po twarzy. Po raz pierwszy oddawna nie nad sobą płakałam! Te łzy były chrztem, który moją chorą duszę obmywał z egoizmu, z zasklepienia się chorobliwego w swoim bólu. Oto ten człowiek trzecie ukochanie traci w życiu, a znajduje czas i myśl swobodną, aby mnie pytać troskliwie i poważnie:

— Czy pani się czuje na siłach mówić ze mną o tem?

Milcząc, skinęłam głową.

— Miałem list od niego, list zrozpaczony i niezupełnie przytomny. Nie pokażę go pani, chyba kiedyś znacznie później, bo dziś byłaby to za silna próba na nerwy osłabione. Prosi mnie na wszystko o słówko odpowiedzi z wiadomościami z Trocicz; pisze, że czuje się niegodnym pani i jej miłości.

— Mnie niegodnym się czuje, ale kocha ją! Prawda, że z listu tego bije wielka miłość dla niej, prawda?

Pan Adam milczał.

— Wiem, że tak jest, choć listu nie czytałam. Teraz wszystko rozumiem i odczuwam, nie potrzeba

mi nie mówić. Wiem, że ją strasznie kocha, że to jego pierwsza miłość; że dla mnie nie miał jej w sercu ani iskierki... nigdy... Jeżeli rozpacza, to głównie z jej powodu. Prawda? No, niechże pan mówi!

— Prawda. Biedny człowiek! Miłość spadła na niego, jak burza!

— I o niej pisze?

— Pisz. Boi się, aby Zosi nie męczyli z jego powodu.

Poszłam do swego biurka, wzięłam list, pisany do niego, i oddałam panu Adamowi.

— Niech mu pan to wyśle, tylko proszę zastrzedz, żeby mi ani słóweczka nie odpisywał. Nie chcę żadnych tłumaczeń, nie chcę! I proszę mu o mnie żadnych wiadomości nie przysyłać.

Wziął kartkę z moich rąk i popatrzył na mnie chwilę swoim mocnym i smutnym wzrokiem. Nagle źrenice mu się zaszklily, wziął moją rękę i poniósł ją do ust. Cofnęłam ją śpiesznie, przejęta pokorą; nie zasługiwałam na taki hołd z jego strony.

Pan Adam tegoż dnia odjechał do żony. Uciekłam, aby nie być świadkiem jego pożegnania z córką; było to pierwsze ich rozstanie.

Tuląc do siebie rozszlochane dziecko i goniąc wzrokiem wysoką postać, jakby złamaną bólem, którą bryczka szybko unosiła aleją topolową, powtarzałam sobie to, co napisałam w liście.

Mila była jedynym skarbem pana Adama, powierzonym mnie i ja powinnam o tem każdej sekundy pamiętać. Zaczęło się dla mnie życie po brzegi zapełnione. Każda chwila mego czasu była własnością Mili. Uczyłam ją sama, bawiłam się w godzinach zabaw, układałam ją do snu. Bona Francuzka nic prawie nie miała do roboty. Codziennie wysyłałam rodzicom rodzaj biuletynu, do którego Mila dopisywała kilka słów ogromnemi literami. Drżałam o każdą rzecz. Nie przyjmowałam wcale chorych ze strachu przed jakimkolwiek zarażeniem dziecka; przy swojej

apteczce posadziłam stałego felczera i jemu zdałam kierunek. Nie wyjeżdżałam wcale bez Mili; bywałam tylko z nią razem w osamotnionym Powaliniu, gdzie odwiedzała różne swe faworyty, i u Szyrmów, z których dziećmi lubiła się bawić. Córeczka pana Adama związała mnie napowrót z życiem, mała jej rączka goiła rany, zadane mi przez los i ludzi. Pokochałam ją też całą mocą uczucia, zranionego i odrzuconego przez innych; widziałam w niej cel istnienia i zarazem jego osłodę. Nie miałam już czasu na długie zatapianie się w smutnych głębinach własnej duszy; po dniu regularnym, zapełnionym, przeżytym w towarzystwie dziecka, w zetknięciu z bogatą i kojącą przyrodą końca lata, przychodził sen kojący, spokojny, bez wspomnień i marzeń. Wpływ Mili na mnie był tak widocznie i niezaprzeczenie dobroczynny, że ją ojciec i ciotka serdecznie pokochali przez wdzięczność. Stała się ona tem u nas, czem była Zosia w dzieciństwie, choć rdzenna różnica charakterów obu nie mogła być chyba wybitniej zaakcentowaną. Miła była wyjątkowo uczuciowem dzieckiem; żyła tylko sercem, a intuicyę w tym względzie miała zdumiewającą. Gdy siedziała z główką opartą na dłoni i patrzyła swemi dużemi, pełnemi łez oczyma, zdawało się, że rozumie i przenika wszystko. Słodka, cicha i pieściotliwa, należała do rzędu tych dzieci, o które drży się mimo woli, „aby im z nieba zapomnianych skrzydeł nie przysłano...”

Ciocia korespondowała z panią Billewiczową w sprawie dalszego kształcenia Zosi. Ciocia Jadwisia postanowiła sobie, mocno, że Zosia zimę spędzi po za domem i energicznie przeprowadzała swoje. Billewiczowa gorąco polecała pensyę w Rydze, na której wychowywała się córka jej sąsiadów. Postanowiono, że Zosia pojedzie tam po skończeniu wakacji w towarzystwie tej panienki. Tymczasem w Wilnie robiła z ciotką pensyonarską wyprawkę. Do Trociez miała przyjechać na dni kilka dla pożegnania nas.

Nie mieszałam się do niczego, nie czytywałam nawet listów mojej synowicy. Nie mówiłam o niej wcale, ale myśl o blizkiem spotkaniu mężczyźta mnie niewymownie. Nie wiedziałam wprost, w jakiej roli wystąpić wobec niej. Pieszczone dziecko stanęło nagle przedemną jako kobieta-rywalka i rywalka szczęśliwa. Prócz tego czułam, że jej widok cały nowy paroksyzm bólu, tak starannie usypianego wywoła; czy będę miała siły go zwalczyć?

Nadeszła wreszcie chwila ciężkiej próby; wysłałam konie i pannę służącą na stację po Zosię. W ostatniej chwili ogarnęło mnie tchórzostwo, chciałam zabrać Milę i uciec na te dni kilka gdzieś w sąsiedztwo, skoro Warszawa była obecnie zamkniętą dla mnie. Ale wstyd mnie wziął tej małoduszności; zostałam i gdy wszyscy witali Zosię, wyszłam i ja na ganek spokojna i milcząca. Zosia spojrzała na mnie ciekawie, pocałowała dość obojętnie, poczem zaczęła opowiadać dużo, dużo i śmiać się. Patrzyłam na nią, jak na obcą osobę, i analizowałam w duchu.

Czułam, że stoimy bardzo daleko od siebie i że przepaść między nami jeszcze zwiększać się będzie; wszelka ufność i szczerłość zabite zostały w naszych stosunkach; jej spojrzenie przy powitaniu objaśniło mi aż nadto, że ta dziewczyna nie ma nic w sercu dla mnie, nietylko przywiązania, ale nawet iskierek współczucia. Zabrała mi szczęście, bo tak jej się podobało, i nie czuje żadnej winy na sumieniu; dlaczegoż ja go nie umiałam bronić? Pomyślałam sobie, że daruję jej i to, jeżeli tylko Karolowi serca nie złamię. Strach ten opanowywał mnie coraz silniej, gdy patrzyła na nią i słuchała jej.

Czy ona chociaż pamięta o nim? Opowiada ciągle o zabawach, na jakich bywała, o poznanych młodych ludziach, eleganckich paniach, studentach; codziennie z kuzynami jeździła konno, tańczyła co tydzień, nauczyła się grać w tenisa. W Rydze ma już paru znajomych Arkonów, pójdą z Cesią Widzką na gale-

ryę podczas balu Arkonii. Cesia bywa w paru domach polskich w Rydze i ją tam zaprowadzi. Ona od razu wobec przełożonej postawi się należycie, nie chce być traktowaną jak dziecko dziesięcioletnie, chce mieć trochę swobody. Ciocia Billewiczowa kompletnie to aprobuje. Wogóle ciocia występowała często teraz u Zosi jako wyrocznia; znała świat, ludzi, wymagania światowe, zupełnie co innego, niż zaśniedziali mieszkańcy Polesia, względnie Trocicz. Nie było się co ludzi; ten krótki pobyt w odmiennem otoczeniu oderwał ją zupełnie od domu; choć przez nas wychowana, była już obcą wśród nas. Inne kwestye ją zajmowały, inne miała upodobania, inne nawet wyrażenia.

— To bardzo dobrze, że wyjeżdżam do Rygi — powiedziała Zosia przy końcu dnia — bo skosztowawszy innego trybu życia, jużbym nie potrafiła spędzić zimy w Trociczach. Porobię znajomości w Rydze i tam z ciocią Billewiczową będę spędzać karnawały.

Sto razy na ustach miałam:

— A Karol? Co ty zrobisz z Karolem wśród tych wszystkich projektów?

I za każdym razem połykałam te słowa, a zaiste, miały one smak piołunu!

Mało widywałam Zosię w czasie jej krótkiego pobytu. Niemal codziennie wyjeżdżała w sąsiedztwo z wizytami pożegnalnemi. Kazio, którego nie spotykałam przez całe lato, z czego mocno się cieszyłam, gdyż jego widok był dla mnie boleścią i upokorzeniem, znów się teraz pojawił. Zosia dręczyła go więcej, niż kiedy, tak, że chodził czasem po objedzie i płakał. A mnie wtedy zawsze na myśl przychodził Karol..

XIX.

W pochmurny, rozpaczliwie smutny dzień listopadowy wrócił pan Adam wprost do Trocicz — sam. Głowę miał już całą siwizną przyprószoną i czarną krepę na ramieniu. Witałam go w milczeniu — i cóż mu mogłam powiedzieć? Z dalszych pokojów z krzykiem radości biegła Mila i rzuciła się ojcu na szyję, prawie nieprzytomna ze szczęścia. On uniósł ją z ziemi, ścisnął, całował rączki, twarzyczkę, włosy.

Po chwili Mila odsunęła jego głowę obydwoma rączkami, spojrzała mu uważnie w oczy i spytała głosem nieopisanego brzmienia:

— Tatku, a gdzie mama?

Przestał ją całować i milczał posepnie.

— Gdzie mama? — powtórzyła z natarczywą twardością,

Wówczas po raz pierwszy zobaczyłam spływające po jego policzkach dwie łzy. Zakryłam oczy i uciekłam z pokoju.

Gdy w dni kilka potem rzeczy Mili, moją ręką spakowane, mieli zabierać do Powalina, gdy ona sama, ubrana w żałobną sukienkę, przyszła mnie żegnać, wpadłam w gwałtowną, prawie dziecinną rozpacz. Tonąc we łzach, przyciskałam ją do siebie, wołając:

— Nie oddam ciebie, nie oddam!...

Razem z tą małą zabierano mi jedyny jasny promyk w życiu i prawie, że jego cel. Przeraziła mnie pustka, jedynie smutkiem i goryczą zawodu wypełniona, która mnie czekała.

Pan Adam patrzył to na Milę, to na mnie, i tym razem jeszcze zrozumiał mnie bez słów.

— Niech ona z panią zostanie, dopóki się horyzont nad panią nie wyjaśni i dopóki może być potrzebna — powiedział z prostotą, kładąc rękę na jasnej główce córki. — Zostawię ją pani, to chyba najlepszy sposób spłacenia długu, jaki zaciągnąłem.

W jednej chwili pochwycił mnie wstyd za mój egoizm.

— Ależ to straszna dla pana ofara! I pan jest smutny i pan jej potrzebuje!

— Będę przyjeżdżał często, mnie łatwiej jeździć, niż pani; będą państwo musieli znosić moją częstą obecność!...

— O, co do tego... Pan dobrze wie, że to będzie tylko jedna pociecha więcej, ale panu w domu...

— Rzucę się w wir pracy, tyle zaniedbałem przez ten rok, tyle odłogiem leży i czeka na moją rękę. I to jest jedna szansa więcej, której pani nie posiada w takim stopniu... Stanowczo jestem lepiej uzbrojony przeciw smutkowi i dlatego odstępuję pani Milę, jako najpewniejszy i najskuteczniejszy na niego środek.

— Wszystko dobre zawsze mi od pana płynie, przywykłam już do tego. Więc tylko dziękuję za ten jeden raz więcej i przyjmuję!

I tak Miła została z nami ku ogólnej radości mieszkańców Trocicz. Czwartki i niedziele regularnie spędzała u ojca, jeżeli tylko pogoda była możliwa, a on niemal codziennie przyjeżdżał do Trocicz. Przyjeżdżał zwykle o zmierzchu po ukończeniu zajęć, pił

z nami herbatę, a potem czytał głośno z Milą, albo też we troje graliśmy w różne gry, loteryjki i t. d. Trzeba było wtedy widzieć rozpromienienie małej. Trzymając mnie za jedną rękę, a drugą oplatając szyję ojca, stawała się rozmowną, szczebiotliwą; pytała, opowiadała i całowała to jego, to mnie. Czasem siadałam do fortepianu, pan Adam na fotelu w kącie salonu, a Mila na jego kolanach. Tak nam schodziły zimowe wieczory...

Wokoło hulały wichry po śnieżnych przestrzeniach pól, u nas było zacisznie, spokojuie, bez wesołości i gwaru, ale nie bez słodczy ukojenia, która przychodzi po burzach i jest nagrodą przebytych cierpień.

Zosia nie przyjechała na święta. Myśl o tem, co ona zrobi z Karolem, nie dawała mi spokoju. W listach jej nie było nigdy najłżejszej o nim wzmianki, natomiast dużo zachwytów nad Rygą i... nad Arkonami. Bywała u niektórych koleżanek, mieszkających w mieście, wychodziła często i wogóle zdawała się bawić wybornie.

Pan Adam, któremu opowiedziałam wszystko, podjął się napisać do Zosi, zapytując ją szczerze i otwarcie o Karola, tembardziej, że od niego otrzymał list w odpowiedzi na moich słów parę. List ten podobno był jednym wybuchem radości i gorącym zapewnieniem, że próba stałości dwuletnia wydaje mu się niczem. Zdradzał też wielką ufność w uczucie i stałość Zosi.

Synowica moja kazała długo czekać na odpowiedź panu Adamowi. Nadeszła wreszcie, a była tej treści:

„Niech się pan nie gorszy moją zwłoką w odpowiedzi, ale teraz jest karnawał, a istnieje on tak dobrze dla pensyonarek, jak i dla innych. Zapytuje mnie pan, co ja postanowię za dwa lata? O, mój Bo-

że! do tego czasu świat się może przewrócić, a nie dopiero czyjeś zamiary. Mam siedemnaście lat i chcę korzystać z młodości i bawić się, oto moje główne dzisiejsze postanowienie. Co do pana Karola, to 1^o, dochodzę do przekonania, że daleko stosowniejszą parę utworzyłyby z ciocią, niż ze mną. Była to chwilowa pomyłka z jego strony, którą powinien naprawić. 2^o, ja osobiście znajduję, że najlepiej wyjść nie za doktora, ale za agronoma, albo technika i to z ryskiej politechniki i korporacji Arkonii. Powtarzam zresztą, że mi teraz nie małżeństwo w głowie, stanowczo jestem za młoda, co pan chyba przyzna.”

Po przeczytaniu tego listu opanowało mnie przez chwilę bardzo brzydkie uczucie, podobne do tryumfu. Ale wnet zarumieniłam się za nie sama przed sobą. Biedny, biedny Karol, jakże słuszne były moje przeczucia i obawy! jakże on strasznie odcierpi ten pierwszy zawód, on, tak mało z życiem i jego twardym wymaganiami oswojony!

Pan Adam patrzył na mnie z uwagą.

— Coby pani zrobiła, gdyby teraz Jaworski w zeznaniu swego błędu, skruszony, wrócił do pani?

Krew mi uderzyła do głowy.

— Nie przyjąłabym go już, stanowczo nie!

-- Czy to ambicya?

--- Nie, chyba. Widzi pan, coś się dziwnego stało z mojem uczuciem dla niego... Ja go tak wyidealizowałam, stał u mnie na tak wysokim piedestale. A ta jego miłość dla Zosi dziwnie mi go zmniejszyła. Teraz mi go głównie żal, więc chyba już nie kocham. Ja mam to w swej naturze, że kochając, potrzebuję wzniesć oczy i wzniesć serce. Mam do niego żal, nawet nie za jego postępek ze mną, ale zato, że nie jest tak wielki, niezłomny, silny duchem, jakim go so-

bie wyobrażałam... Może to nie ma sensu, ale jednak jest...

— Bo pani go kochała nie takim, jakim rzeczywiście jest, ale takim, jakim był w wyobrażeniu pani.

— To też dziś „mój Karol” nie istnieje już... Pogrzebałam go w towarzystwie wielu złudzeń i nadziei szczęścia...

XX.

W niedzielę zapustną Dzieżewiczowie usilnie zapraszali ciocię i mnie na herbatę „z pączkami.” Wogóle niechętnie wyjeżdżałam z domu, a w Stawiszczach wyjątkowo nie lubiłam bywać, z racji przykrości, jaką mi zawsze sprawiał widok Kazia, ale zapraszali z takim naciskiem i tak im widocznie szło o naszą bytność, żeśmy pojechały z ciocią.

W drodze przypomniiał mi się Stawin, jazda na bal do Rudzicz i moje niefortunne światowe występy. Nie uśmiechnęłam się na wspomnienie mojej rozpaczki z owych czasów; odtąd cięższe przeszłam chwile, ale tamte były pierwszym krokiem na drodze zawodów. I zawsze odtąd gorzko przepłacałam, ilekroć chciałam sięgnąć po szczęście. Należy więc raz już z niego zrezygnować, na spokoju poprzestać. Na razie mam względny spokój, aby go tylko nic nie zakłóciło! Jestem zmęczona, zmęczona, zmęczona,

W Stawiszczach zastałyśmy Szyrmów i pana Michała.

Przy stole, uginającym się pod ciężarem różnych ciast domowych, serów rozlicznego gatunku, całych półmisków wędlin, panie rozmawiały z sobą o sąsiedzkich płotczkach, a panowie zatopili się w rozprawie agronomicznej. Przybycie nasze zmieszało nieco ten porządek. Pan January, rozpromieniony, poskoczył na

nasze spotkanie i głośno trzy razy pocałował mnie w rękę. Gdy zajęłam miejsce przy stole, klepnął po ramieniu swego siostrzeńca, wołając:

— Obok panny, obok panny, Michaś!

Pan Michaś dość ciężko przysunął swe krzesło w okolice mojego i z punktu zaczął mnie bawić. Najprzód przysunął mi wszystko z kolei, co tylko było na stole, poczem spytał:

— Prawda, jaka wyborna sanna?

— Wyborna.

— I czas taki przyjemny, mroziak niewielki.

— Istotnie, czas przyjemny.

— Czy pani lubi szybko jechać sanna?

— Bardzo lubię...

— Szkoda, że już zapóźno, przewiozłbym panią mojami końmi. Dwa czterolatki, doskonale wybiegane. Udało mi się z niemi, oszukałem żyda. Podobały mi się odrazu, mówię żydowi: No, Icku, zrobmy handelek, ja mam parę swego chowu, zabieraj, a dawaj te. A z moich, proszę pani, jeden strychował, a drugi był spleczony...

— To rzeczywiście, udało się panu znakomicie...

— Prawda?... To taka przyjemność żyda oszukać...

— Wielka... Ale jeśli się raptem okaże, że jeden z nabytych koni jest ochwacony, a drugi ma opoje?

— Proszę pani, czy ja cymbał, żeby tego nie obejrzeć? Zresztą wytlukłbym żyda...

— No tak, a żyd pana nie może, to racya.

Nastąpiła chwila milczenia, temat był wyczerpany...

— Czy pani dobrze bawi się tych zapust?

— Chyba zupełnie tak samo, jak i pan, to jest wcale.

— Prawda, jakie to nudne strony! Człowiek

sam w domu, myśli czasem, że przyjdzie mu zwa-
ryować. Latem jest robota, ale w zimie to choć siadź
i płacz!

— Niech się pan żeni, to lekarstwo na nudy
zimowe.

— Oho! czemu nie! jabym chciał! I ja będę
bardzo dobrym mężem, doprawdy! Niech tam sobie
żona robi co chce, jeździ, bywa, i owszem! Niech się
nawet i stroi, ja pieniędzy nie będę żałował.

— Szkoda, że panny nie mają dokładnego wyo-
brażenia o tem, jaki to z pana będzie mąż! — odpo-
wiedziałam dość cierpko, bo zaczynałam rozumieć.
Spojrzałam gniewnie na pana Januarego, przeczułam
w tem jego rękę. Spotkałam się z jego wzrokiem fi-
luternym i rozpromienionym. Zauważyłam wtedy, że
wszyscy zebrani koło stołu, z wyjątkiem chyba ciotki,
spoglądają ciekawie na mnie i na pana Michała. Ten
zaś nie dawał się zbić z tropu i rezolutnie prawił
dalej:

— Proszę pani, jabym tam nie szukał konie-
cznie ładnej buzi na żonę, nie zwracam na to uwagi.
Niech będzie dobra, to grunt, a czy tam oczy takie,
czy owakie, cera ta, a nie inna, to już mniejsza.

— Byle posag był przyzwoity—chciałam dokoń-
czyć, ale się powstrzymałam. Oblał mnie piekący ru-
mieniec upokorzenia. Więc nawet i ta kropla nie by-
ła mi oszczędzona w kielichu goryczy, który pić mu-
siałam!...

Na szczęście wstawano od stołu i zostałam uwol-
niona od p. Michała. W salonie zato napadła na mnie
Szyrmina:

— I cóż? i cóż? — pytała z oczyma błyszczą-
cemi od ciekawości.—Może można powinszować?

— Czego?

— A no... Chyba, że się jeszcze nie oświad-
czył?...

— Nie rozumiem, o kim pani mówi.

— Ależ o Rajewiczu naturalnie. Przecie pan

January po to dziś tę herbatkę urządził, aby mu ułatwić. To jest jego marzenie. Postanowił, że Zosia wyjdzie za Kazia, a pani za Michała.

Spojrzałam na nią tak chłodno, że się trochę zmieszła.

— No, ja to rozumiem—rzekła ciszej—że gdy się miało tak ładnego narzeczonego, jak pani, to Rajewicz nie bardzo zachwycić może. Ale w dzisiejszych czasach tak trudno o męża...

— Zwłaszcza przy moim braku urody.

— Nie, tego ja nie mówię... Kiedy jest posag, dobre nazwisko...

— Co tam panie dobrodziejki o mężach i posagach rozmawiają?—zahuczał głos p. Januarego.—Proszę pamiętać przysłowie, panno Józefo: „męża szukać blisko, a żony też.” Co tam te zamorskie bogi!... Nigdy z nich pociechy nie będzie, zawsze to mówiłem. Na męża niema, jak nasz poczciwy hreczkosiej; wspomnisz moje słowo, panno Józefo! Taka panna! to wstyd, ażeby w swoich stronach męża nie znalazła!... Albo i Zosia!... Nie puścimy jej z sąsiedztwa i basta!...

Stanowczo miałam tego dosyć. Oglądałam się za ciocią, aby pomyśleć o odwrocie, gdy drogę zastąpił mi pan Michał. W jednej chwili wszyscy nas odstawili, zostaliśmy sami w kącie salonu.

Pan Michał miał twarz promieniejącą i uprzejmą.

— I cóż pani na to, co wuj powiada?

Postanowiłam skończyć odrazu.

— Ja? Nic absolutnie, bo te kwestye mało mnie obchodzą.

— Dlaczegoż to tak?

— Nie jestem bynajmniej kandydatką do zamążpójścia.

— Jakto? pani nie chce wychodzić zamąż?

— Nie mam tego zamiaru.

— A gdyby się pani ktoś oświadczył?

Ani pan Michał, ani jego swaci nie przypu-

szczali widocznie, abym się mogła oprzeć urokowi tego faktu.

— Gdyby mi się kto oświadczył, tobym mu podziękowała za dowód uznania... i odmówiła.

Pan Michał milczał przez chwilę; widocznie mózg jego ciężko pracował nad rozwiązaniem jakiejś zagadki.

— A może to i prawda, co ludzie mówią—rzekł nagle oświecony — że pani czeka tylko końca żałoby, aby wyjść za pana Adama Korzeckiego?

— Ja?... za pana Adama?

Teraz z kolei byłam oszołomiona.

— A tak powiadają, ale ja temu nie wierzyłam. Wdowiec, nie taki już młody... Zawsze kawaler lepszy.

— Któż to mówi takie rzeczy? — spytałam surowo, zła na siebie za rumieniec, który czułam na twarzy.

— Ano ludzie. Przecie widzą, że jeździ często, że pani córkę mu hoduje...

— Ludzie najlepiej zrobią, jeśli nie będą się wtrącali do rzeczy, których nie rozumieją...

Rzuciwszy to z szorstkością, której nie miałam w zwyczaju, poszłam szepnąć cioci, że chcę już wracać do domu. Byłam wzburzona i wstrząśnięta. Więc już ludzie między pana Adama i mnie chcą wchodzić, chcą mi zatruć ten jedyny stosunek, o jaki dbam na świecie! Nie rozumieją spójni ducha, jaka jest między nami, i chcą ją koniecznie swoją miarką mierzyć. Czułam gniew i żal za niedyskretne dotknięcie rzeczy bardzo dla mnie drogiej i bardzo cennej, o mały włos, że nie wołałam o profanację.

Na odjezdnem pan January szepnął mi głośno do ucha:

— A co Michał? Tęgi chłopiec! Będzie wam w Trociczach gospodarzyć, że aż ha!

Gdy mnie owionęło chłodne powietrze nocy, gdy tylko szum wiatru wtórował nym myślom, zaczęłam

się uspokajać. Za co ja właściwie tak się oburzyłam? Były w rzeczy samej pewne pozory, które usprawiedliwiały ludzkie przypuszczenia. I co w tem złego? Właściwie uie, tylko, że to mną tak wstrząsnęło! Nigdy nic podobnego na myśl mi nie przychodziło. Ja żoną pana Adama!... I znów, pomimo chłodu, poczułam gorąco na twarzy, przymknęłam oczy... Ogarnął mnie jakiś strach i dziwne wzruszenie... Boże! co to jest?

Otworzyłam oczy, wyprostowałam się na sankach, spjrzałam koło siebie... Dzwonki głucho dzwięczały, głos ich był rwany wichrem, niebo, pola, powietrze były mglisto szare, drobne płatki śniegu wirowały w tej szarzyźnie... Trzeba zebrać myśli, zastanowić się spokojnie. Czego jestem tak wzruszona? Wszak nic się nie stało, nic nie zaszło! Nic, tylko usłyszałam rzecz, od której zrobiło mi się widno w duszy—i to światło przeraziło mnie...

Boże! ja tego nie chcę! ja nie chcę go kochać i cierpieć znów, nie chcę! Miłości mi nie da, a litości nie chcę!... Jeszcze odgadnie, jak Karol odgadł, i będzie mnie żałował. On mnie tak zna i tak umie czytać w duszy. Co robić, aby to ukryć, a przede wszystkim, aby go z serca wyrwać?

Od jak dawna? Jak to się stało? czy to tylko napewno tak?... Moje myśli wirowały, jak płatki śniegu zawieruchą porwane, żar bił na mnie pomimo mrozu, miałam ochotę zrzucić z siebie futro i biedz w tę noc rzarą, wietrzną...

Spojrzełam w okna Mili dojeżdżając: ciemne były, już spała. On odjechał, bo był przed mym wyjazdem i miał zostać dopóki mała się nie położy. To dobrze, że odjechał, ale jutro, pojutrze?

Wbiegłam do przedpokoju i gorączkowo zrzuciłam z siebie szale i chustki, gdy otworzono drzwi od saloniku.

— Dobry wieczór paniom? Czy nie błądziły panie?

Boże! Z drgających rąk mufka i rękawiczki upadły na ziemię. Czy być może, aby ten głos, taki znany, słyszany tyle razy, miał dźwięki tak do głębi przejmujące?

— Przestraszyłem panią?

— Nie. Myślałam, że pan już pojechał?

— Wszczęła się zamieć, lękałem się, aby panie nie błądziły i chciałem doczekać się powrotu.

— A gdybyśmy nie wracali?

— Tobym wziął ludzi i pojechał szukać. Maksym źle widzi w nocy, dwie panie same nie dałyby rady.

Cicho, szalone, głupie serce, cicho!... Onby to samo zrobił dla każdego, trzeba go znać... Och! tylko tych złudzeń nie dopuszczać do głowy, trzeźwości, trzeźwości! Przecież ja wiem, że mnie kochać nie można!

— Co pani jest? Pani jakaś wzburzona? Czy usłyszała pani tam co niemiłego?

— Ja? Ale gdzie tam? Przeciwnie. Jeden młodzieniec raczył mi powiedzieć, że zgadza się nawet na brzydką żonę i z tej racji gotów mi swą osobę i rękę zaofiarować.

— Rajewicz.

— On sam. Dzierżawa jego wymaga nakładu kapitału.

— Poco ta gorycz?

— To tylko brak złudzeń, jestem i chcę być trzeźwą. Czy ojciec śpi?

— Nie. Graliśmy w pikietę przed kominkiem.

— Pan dziś chyba nie pojedzie — powiedziałam nieśmiało. — Zamieć się wzmaga.

— O! mnie nic się nie stanie. Jadę zaraz, mam roboty moc od rana. Miła narzekala cały wieczór na nieobecność pani, zacznę być zazdrosny?

— O mnie? To czysta ironia. Któż o mnie może być zazdrosny?

— Mały atak pesymizmu. Mam nadzieję, że

przejdzie do jutra. Słyszę zajeżdżające swoje konie Dobranoc pani, jaśniejszych myśli życzę.

— Dobranoc panu.

Pojechał.

Na pożegnanie ledwie dotknęłam jego ręki, a potem pobiegłam do okna i z czołem opartem o szyby słuchałam dźwięku dzwonków ginących bez echa. Potem weszłam do pokoju Mili i uklękłam przed jej łóżeczkiem. Co robić? Oddać ją? samej gdzie uciec? aie gdzie i dokąd uciec od siebie? Ta wspólność życia niemal rodzinna dalej trwać nie może. Chyba jemu powiedzieć: ludzie o nas zaczynają mówić, strzeżmy się. Ale jak od niego się ustrzedz, kiedy dotąd znał każdą myśl moją? jak tu kłamać spojrzenia, słowa, wzruszenie! Mój Boże! więc znów męka? znów walka? A jednak, jednak z zamętu myśli, z chaosu wrażeń, ze strachu przed przyszłością, wyłaniało się z samych głębi duszy, z tych głębin obcych świadomości i woli, głębokie, potężne uczucie szczęścia.

Bez względu na warunki sama z siebie niesie je uświadamiająca się miłość...

XXI.

I odtąd dla mnie rozpoczęło się życie dziwne, spokojne i równe napozór, a rzeczywiście burzliwe i udręczone. Drobną, przez nikogo niezauważoną okolicznością, napełniała mnie szczęściem, a inna, równie nieznaczna, przyprawiała o rozpacz. Pan Adam przyjeżdżał, jak dawniej; nieraz dzień cały schodził mi na nasłuchiwanie dzwonek jego sanek, a gdy przyjeżdżał, uciekałam do swego pokoju i długi czas pasowałam się z sobą, zanim wyszłam go witać. Straciłam wszelką swobodę obejścia się z nim, stałam się dziecinnie nieśmiałą, nie umiałam rozmawiać. Nie wiedziałam co mu powiedzieć, gdyśmy chwilę sami zostawali, milczałam i rumieniłam się tylko. Najszczęśliwsze chwile w mem życiu były te, gdy on wieczorem czytał głośno Mili. Mogłam wtenczas patrzeć swobodnie na niego; światło lampy padało na jego pochylone czoło o szlachetnym rysunku, na spuszczone powieki, na srebrzące się włosy; reszta twarzy była w cieniu. Czasem znów przymykałam oczy i słuchałam tylko jego głosu, tego równego w brzmieniu, matowego głosu, który mi potem dźwięczał w uszach długo, długo... Czy on zauważył moją zmianę w zachowaniu się, nie wiem. Czułam na sobie chwilami jego wzrok badawczy i uważny, ale nie pytał o nic. Nie narzucał mi swego towarzystwa,

nie wywoływał dłuższych, poufnych rozmów, zresztą był taki, jak zawsze.

— Co go może obchodzić to, co się we mnie dzieje?—myślałam z goryczą.—Widzi, że jestem dziwna, przypisuje to wybrykom nerwów i dość na tem. Tyle na świecie spraw go pochłania, tyle ma na swej głowie i cóż ja znaczę wobec tego? Nie interesuję go jako kobieta, a jako człowiek zbyt mało znaczę! Oh! gdybym była piękną! choćby tylko dla niego i w jego oczach!

Po takich rozmyślaniach rankami poduszka moja była mokra od łez.

Zaczęły się roztopy. Drogi zmieniły się w potoki, strumienie w rzeki, a łąki w jeziora. Martwą ciszę pól zastąpił szum wód wiosennych. Każdy spadek gruntu, belka rzucona, płot obalony, wytwarzał wodospad; woda szalała, szumiała tryumfalnie, zносиła mostki, zalewała groble. Wieczne zorze zachodu odbijały się w tysiącznych zwierciadłach, niebo i ziemia jednaką płonęły purpurą i złotem. Nad temi wodami, nad nagimi konarami drzew krążyły z krzykiem kawki.

Pan Adam przyjeżdżał rzadziej. Gdy przyjechał, był w długich butach i czasem zabłocony powyżej kolan; musiał niekiedy przebywać istotne niebezpieczeństwa.

Przez pewien czas byliśmy kompletnie odcięci od świata.

Pewnego dnia, na parę tygodni przed Wielkanocą, przybiegła do mnie z płaczem żona furmana: zachorowała jej córeczka... Poszłam zaraz do niej i z przerażeniem poznałam szkarlatynę, drugie dziecko, młodsze, także okazywało już początki choroby. Wróciłam co prędzej do domu, posłałam po doktora, w drugą stronę po pana Adama i kazałam pakować rzeczy Mili. Sama nie wchodziłam nawet do jej pokoju. W parę godzin przyjechał pan Adam i natychmiast zabrał córkę, z którą się nawet nie żegnałam.

I tak okoliczności sprawiły nagle to, czego sama nie miałam odwagi zrobić. Wszelka komunikacya z Powałinem, nawet listowna, została odrazu przerwana.

Szkarlatyna wybuchnęła silnie tak między działywą dworską, jak i na wsi. Wzięłam się energicznie do ratunku; nie broniono mi tego. W dzieciństwie przechodziłam już tę chorobę, więc byłam niejako zabezpieczona, a ojciec i ciotka po staroświecku nie wierzyli w bakterye i udzielanie się chorób. „Jak Pan Bóg da” zwykli mawiać z rodzajem ludowego fatalizmu. Rzuciłam się więc w wir leczniczych zajęć, a było mi tego mocno potrzeba; w mem życiu utworzyła się nagle taka pustka, że byłam nią wprost oszołomiona. W wolnych chwilach szłam do pokoju Mili, spoglądałam na jej puste łóżeczko, na krzesło przy oknie, na którem miała zwyczaj klęczeć, aby wyglądać oknem, i mimowoli nasłuchiwałam jej głosu w dalszych pokojach. Wieczorem siadywałam przy tym samym stole pod wiszącą lampą, gdzie nam schodziły wspólne wieczory i co chwila z nad książki podnosiłam oczy na to miejsce, gdzie on zwykle siadywał. Widziałam go tak dokładnie oczyma pamięci! Każdy rys miałam tak wryty w mózgu, każdy ruch jego, intonacyę głosu. Poznawałam do głębi, w całej pełni rozciągniętego znaczenia, tajemniczy wyraz „tęsknota!” Nie zadawałam sobie już pytania, czy ja go kocham i od jak dawna kocham. Zdawało mi się, że kochałam go zawsze, że całe me życie było tylko przygotowaniem do tej miłości, a teraz, gdy znikł nagle z przed moich oczu, poznałam jasno, że po za nim nie istnieje już dla mnie nic. Bo i któż jest podobny do niego? i kogo tak można całą mocą duszy kochać, uznawać, wielbić! Ideał człowieka, mistrz, przyjaciel—i ukochany! Jakże marnemi wobec niego i wobec uczucia, które obejmowało wszystkie naraz władze mej duszy, wydawały mi się inne zwykłe ideały młodych dziewcząt, a nawet i własne moje uczucie dla Karola!... Alboż już wówczas nie ko-

chałam w Karolu słabego odbicia pana Adama, odbicia, które moja wyobraźnia podnosiła do wielkich rozmiarów? Karol nie utrzymał się na stanowisku, na którym go postawiłam, ale on? on rośnie z każdą chwilą, zawsze ten sam, zawsze nieskazitelny!...

Szkarlatyna ustawała zwolna, ale tygodnie upływały, a dzień spotkania, o którym marzyłam po całych nocach i którego wzywałam całą mocą rosnącej tęsknoty, nie zdawał się zbliżać.

Pan Adam z córką wyjechał na czas jakiś do majątku w Lidzkiem, a ztamtąd miał odwiedzać krewnych. Dałabym dużo, aby pojechać choćby do pustego Powalina, gdzie tyle było jego duszy, jego pracy, tej atmosfery, w której żył i myślał, ale nie śmiałam. O! jakże to marne złudzenie, że oddalenie może miłość wyleczyć! Przed tą długą rozłąką umiałam jeszcze kłamać obojętność, ale dziś nie potrafiłabym nigdy, jużbym sił nie miała! Ambicyę zabił ból tęsknoty: niech sobie odgaduje, niech sobie!...

Pan January uroczyście zaniósł prośbę do ojca o moją rękę dla pana Michała Rajewicza. Ciocia dość popierała ten projekt, ojciec krzywił się trochę na to, że konkurent jest dzierżawcą, a nie właścicielem, „ale może to i lepiej niż warszawski doktorek.” Ja odrazu i stanowczo powiedziałam: nie! Pan January daremnie mi przedstawiał z całą swą rubaszną elokwencją, że robię wielkie głupstwo—byłam niewzruszona. Przepowiedziawszy mi wreszcie staropanieństwo, odjechał mocno oburzony i długo się nie pokazywał w Trociczach.

— Gdybym choć nie miała ani grosza posagu, tak jak nie mam ani za grosz wdzięków, to przynajmniej byłabym uwolniona od tych przykrości—myślałam ze strapieniem.

Początek wakacyi zaludnił Trocicze. Przyjechała Zosia i Billewiczowa z trojgiem dzieci: córką podlotkiem i dwoma synami, z których jeden nosił mundur uniwersytecki, a drugi gimnazjalny. Zawrzało u nas

jak w ulu; krokiet, przejażdżki konne, spacery łódką i powozem, wszystko to było na porządku dziennym. Zosia rej wodziła w tej gromadce, do której, naturalnie, zaliczał się i Kazio; kuzynowie byli u niej na służbie równie ostrej, jak Kazio, powodów do zazdrości nie było, harmonia panowała zupełna. Wieczorem Billewiczowa siadała do fortepianu, a oni tańczyli do upadłego we dwie pary. Ja czułam się dziwnie obcą i starą wśród tej gromadki; nie umiałam się wcielić do nich, a ich wesołość zwiększała tylko mój smutek, czułam się samotną jak nigdy i jak niegdys w Sławinie wydziedziczoną z całej kategorii uciech i przyjemności, które młodość daje i do jakich ma prawo. Nie musiałam też być zabawną, bo oni towarzystwa mego nie szukali wcale. Ciocia Jadwisia i „ciocia Józia” zostawały zawsze w domu, to było już w programie i o zabawianie ich nikt się nie troszczył. W rolę swoją wchodziłam bardzo wcześnie.

W pewien śliczny dzień czerwcowy zorganizowała się wyprawa po poziomki do lasu stawiskiego. Kazio do współki z gimnazystą wieźli w faetoniku Billewiczową z córką, Zosia jechała konno z Jasiem Billewiczem, dla mnie, jak zwykle, nie było miejsca. Nie szło mi specjalnie o pojechanie z niemi, ale ta wieczna rola zbytecznej i zaniedbanej w towarzystwie napełniała mi serce goryczą. Myślałam sobie, że całe me dalsze życie pójdzie już tym torem: Zosia, jak świetna wschodząca gwiazda, będzie jaśniała blaskiem swej urody, młodości, życia, tak w Trociczach, jak i na szerszym świecie, a ja wieść będę swój ciernisty żywot wydziedziczonej, pozbawionej nawet marzeń o szczęściu. Godność osobista nie pozwoli mi się nawet skarżyć i dnie będą mi schodziły w wielkiej szaryźnie, ciężkie i smutne dla mnie, a innym mało użyteczne. Rozżaliła się we mnie dusza. Poszłam aż na swe ulubione miejsce nad rzeczkę; tam usiadłam w cieniu wierzby, której wonne gałęzie zwie-

szały się nad wodą, muskającą własne odbicie. Ładnie tam było i cicho. Pachniała w słońcu mięta i tatarak, złota łuska tańczyła na rzece, a w miejscu, gdzie był cień, woda była spokojna, szafirowa i pozwalała oczom sięgać aż do ciemnego dna. Wodne pająki żeglowały spokojnie po gładkiej toni, czasem ryba rzuciła się na powierzchnię, mącąc zwierciadło wody falistemi kręgami. Zresztą nikogo, żadnego głosu w tem ustroniu. Siedziałam pod ruchomym namiotem zwieszonych gałęzi i płakałam.

Naraz spieszne, drobne kroki... mała postać w bieli i dużej pasterce... Dwa okrzyki radości i Mila już u mnie na szyi...

— Wiedziałam, że panią tu znajdę, wiedziałam, że pani tu lubi chodzić... W domu powiedzieli, że pani niema, zaraz tu przybiegłam. A my już wróciliśmy i nie pojedziemy więcej...

Ściskam ją, całuję, a łzy mi jeszcze lecą po twarzy.

Znów kroki, już nie dziecinne. Serce mi bić przestaje, nie podnoszę oczu, cisnę do siebie Milę i zaczynam drżeć!..

— Jak się pani miewa?

Ten głos... Zapominam o wszystkim i w uniesieniu wielkiem szczęścia, zostawiam Milę, wyciągam obie ręce... Stoi przedemną, oczy ma jasne, na twarzy uśmiech, gość rzadki...

Całuje mnie w rękę, ja stoję w płomieniach i znów twarz chowam w czuprynę Mili... Wrócił, on wrócił! jaki Bóg dobry i jakie życie ma piękne chwile!

— Żle było bez pani! — szczebiocze Mila, wieszając mi się na szyi—tak smutno, pustol! Nikt ze mną nie umiał rozmawiać, ani czytać, jak pani! Ale teraz już zostaniemy tu i będziemy ciągle jeździć, to pani do Powalina, to my do Trocicz, prawda? A pani czy myślała o nas? czy nas żałowała?

Rumieniłam się podczas jej mowy pomimo wy-

siłków, aby się okazać obojętną, i zła na siebie odpowiedziałam z przesadnym chłodem:

— Ja? Widzisz, Milo, ja miałam tyle zajęcia, tyle roboty, że nie mogłam o niczem i o nikim myśleć.

Sama czułam, że moje słowa brzmią fałszywie. O wstydzie! on spojrział na mnie i uśmiechnął się leciutko.

— Jakto! — zawołała Mila, patrząc na mnie ze zdumieniem i wyrzutem swemi wielkimi oczyma— pani o nas zapomniała?

Nie wiedziałam jak z tego wybrnąć; stałam niby winowajczyni z oczami spuszczone i milczałam.

— A nam pani bardzo brakowało — powiedział p. Adam z prostotą.

Jaki on dobry, ten mój wielki pan—i jak strasznie kochany.

— Dlaczego pani siedziała tu sama i płakała? Co pani zrobili? Spotkaliśmy całe wesole towarzystwo, jadące do Stawiszcz? Dlaczego pani z nimi nie było?

Z serca buchnęła mi cała gorycz, gromadzona powoli, namiętą skargą.

— Bo ja im niepotrzebna jestem, ani im, ani nikomu w świecie! Mojem przeznaczeniem jest być zawsze samą, zawsze pominiętą!

I w gorących, rozżalonych słowach wypowiedziałam wszystko, co mi leżało na duszy. Stary nałóg!—to taka pociecha przed nim się skarżyć! on tak słuchał i tak rozumiał!..

I tym razem słuchał uważnie, nie spuszczał mnie z oka, nie tracąc jednego słowa; ale nie pożądał mnie, nie przyznał racji.

— Tak na los narzekać jest niesprawiedliwością względem Boga: pani ma serca bardzo sobie oddane i którym sama jest bardzo potrzebna.

— Tak, wiem, ojca i ciotkę... Ale gdy ich za braknie?

— Dlaczego pani nie liczy mnie i Mili?

— Miła jest dzieckiem, za rok może zapomnieć o tem, że istniałam, a pan... pan ma ją...

— Mam ją i panią, więcej nikogo na świecie.

Patrzę na niego, jak we śnie, nie rozumiejąc...

Głos ma tak ciepły, miękki, inny, niż zwykle... Ja i mnie...

— Kimże bym ja był, gdybym znając duszę pani tak, jak ją znam, nie umiał jej ocenić, nie umiał się poznać na niej. Czytam w niej, jak w otwartej księdze, i widzę w niej skarby, i dlatego mówię: oprócz Mili, drogą i bliską na świecie mam tylko panią!

Boże! co to się dzieje! co się staje ze mną!

— Czego się pani lęka? Niech pani spojrzy na mnie, tak szczerze, spokojnie i prosto, jak pani zawsze patrzyła, niech mi pani wierzy...

Ten głos, w którego każdym dźwięku brzmi moc spokojna i prawda, działa na mnie hypnotycznie... Jestem mu zawsze ślepo posłuszna. Podnoszę oczy, patrzę na niego i w tym wzroku najdroższym i najszlachetniejszym ze wszystkich w świecie widzę to, czego całe życie szukałam daremnie, z czego zrezygnowanie napępniało mnie rozpaczą i buntem—uczucie szlachetne, mocne, niezmienne. . miłość, która we mnie ukochała duszę!

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-06-63, 26-52-31 w. 42

F
620